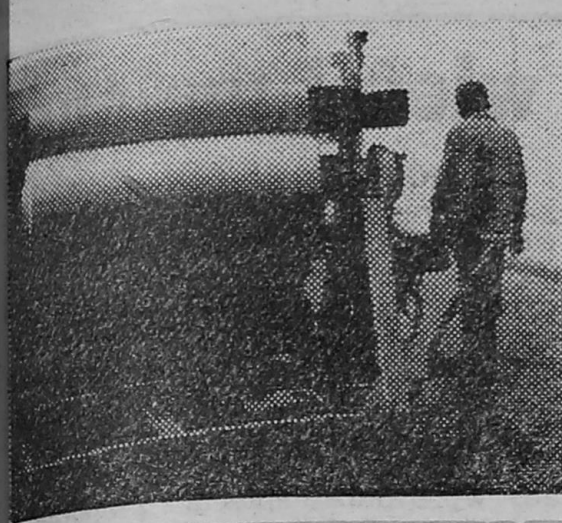
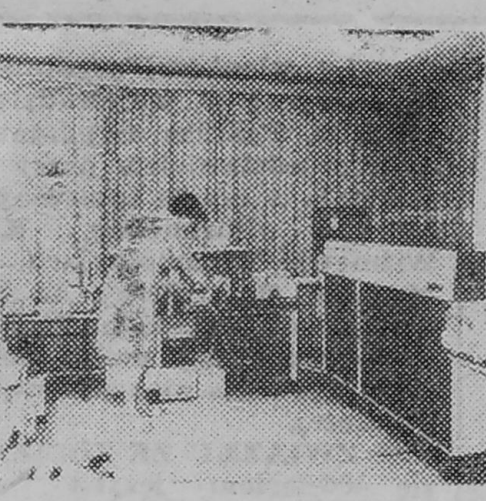




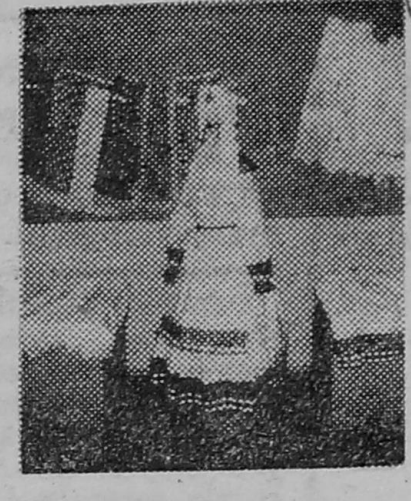
urok ułanów
4



ubytownia
6-7



targowisko
oszuśców
8-9



koronkowa
ekspozycja

KONTAKTY

ŁOMŻYNSKI TYGODNIK SPOŁECZNY PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

17

(289)

KONTAKTY
1986-04-27

cena
15 zł



bociany porządkują nam miasto
czyli
czy musimy żyć w brudzie?

MARIA
KACZYŃSKA

końska choroba

do kogo ta
mowa

— Co będę pani tłumaczył — mówi Jan Bondarenko, doktor weterynarii. — Tak nam na tej sprawie zależy, że nawet lekarze nie wstydzą się wygłupiać na scenie. Założyli kabaret, żeby tylko zwrócić na szpital uwagę społeczeństwa i wład.

A idzie o rozbudowę szpitala rejonowego w Ciechanowcu. Dwa- dziesiąt pięć lat temu, gdy powstał, miał cztery oddziały. Ciechanowiec należał wówczas do powiatu Siemiatycz. Na początku lat siedemdziesiątych w Siemiatyczach otwarto nowy szpital i placówka w Ciechanowcu zaczęła podupadać. Wstrzymano remonty i modernizację, chodziły słuchy o jej zamianie na dom pomocy społecznej.

— Osobiście zostałem wypędzony z Wydziału Zdrowia Powiatowej Rady Narodowej — wspomina Henryk Ptasznik, przewodniczący Miejsko-Gminnej Rady Narodowej w Ciechanowcu. — Chodziło nam o to, żeby zapobiec likwidacji.

Z Ciechanowca do Siemiatycz czterdzieści kilometrów, z okolicznych miejscowości — jeszcze dalej.

— Ludzie nie chcieli słyszeć o tym, że szpital w Siemiatyczach duży i nowoczesny. To nie jest argument przy kiepskich drogach i fatalnej komunikacji. Zresztą, nasza placówka, choć niewielka, od początku cieszyła się dobrą opinią. Mielśmy szczęście do dobrych lekarzy.

Władze w Siemiatyczach obstawały jednak przy swoim. Ambicje lekarzy z Ciechanowca, którzy marzyli o przekształceniu szpitala w ośrodek myśli medycznej, nie zyskały poparcia. Wręcz przeciwnie.

— Wydaje mi się, że w grę wchodziła również rywalizacja zawodowa — twierdzi Marian Kapliński, ordynator oddziału wewnętrznego. — Dlaczego małutki Ciechanowiec, a nie nowoczesna placówka w Siemiatyczach?

Nie udało się utrzymać status quo. Pod koniec Polski powiatowej zlikwidowano w Ciechanowcu dwa oddziały — chirurgię i pediatrię.

Przewaliła się reorganizacja: Ciechanowiec wyłądownął administracyjnie w województwie łomżyńskim, a szpital — w wysokomazowieckim Zespole Opieki Zdrowotnej.

W NASTĘPNYM NUMERZE: pamiętny maj 1936 roku ♦ czy kominarzewi potrzebna drabina ♦ artyści proszą o głos ♦ sakso po łomżyńsku, kierunek — Ameryka ♦ powrót Szymanowskiego ♦ wakacyjna oferta ♦ odświeżone „Kontakty” ♦ kto może być meteorologiem.

PRZYSPIESZONY PULS życia partyjnego. Odbijają się kolejne konferencje przedjazdowe w miastach i gminach województwa. W Małym Plocku obrady delegatów poprzedziła uroczystość wręczenia odznaczeń państwowych zasłużonym członkom partii. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Eugenia Sobiewska, dyrektor Szkoły Podstawowej w Korzenistym i Konrad Maćkowski, pracownik kolneńskiego Oddziału GS-u w Małym Plocku. Uczestnicy spotkania zapoznali się z informacją o realizacji wniosków i postulatów zgłoszonych podczas kampanii wyborczej do rad narodowych i Sejmu PRL oraz perspektywami rozwoju gminy do 1990 r. W dyskusji zwrócili uwagę m.in. na potrzebę zorganizowania spółdzielni mieszkaniowej, przedłużenia kadencji pracy sekretarzy gminnych i wojewódzkich instancji partyjnych do 5 lat, czyli jak na szczeblu centralnym, problemy wychowania i patologii społecznej, kształcenia nauczycieli, łączności telefonicznej w gminie. Delegatami na wojewódzką konferencję przedjazdową zostali wybrani: Józef Cwalina, rolnik z Cwalin Dużych, Andrzej Fabiszewski, rolnik z Rakowa Starego oraz Eugenia Sobiewska, nauczycielka z Korzenistego.

Szczególnie starannie przygotowana była Miejska Konferencja Delegatów Oświaty PZPR w Łomży. Zapoznali się ona z wnioskami nauczycielskich POP, kierowanymi do miejskiej i wojewódzkiej instancji partyjnej. Dominowały problemy zawodowe: przeładowanie programów szkolnych i potrzeba ich zweryfikowania, brak nowoczesnych pomocy naukowych, konieczność budowy nowej szkoły średniej, utworzenia nauczycielskiej spółdzielni mieszkaniowej lub wydzielenia odpowiedniej puli mieszkań w spółdzielniach istniejących oraz utworzenia dla nauczycieli przychodni specjalistycznej. Zwracano też uwagę na potrzebę częstszych kontaktów sekretarzy KM ze środowiskiem nauczycielskim, urlopowania sekretarzy-pedagogów udających się na zebrania POP, ściślejszej więzi POP z ogniwami ZNP. POP powinna skuteczniej oddziaływać na młodzież, programowanie zajęć i procesu wychowawczego, faktycznie, a nie tylko deklaratorywnie współpracować z organizacjami młodzieżowymi.

EGZEKUTYWA KW PZPR rozpatrzyła założenia programowo-organizacyjne wojewódzkiej konferencji przedjazdowej oraz przyjęła informację o realizacji uchwały KW z grudnia 1984 r. w sprawie pracy partyjnej w organach przedstawicielskich i samorządowych. Dobrze ocenila przebieg kampanii przedjazdowej oraz praktykę bezpośrednich kontaktów członków Sekretariatu z podstawowymi ogniwami partyjnymi, załogami pracy i mieszkańcami wsi. W pierwszym kwartale odbyło się 28 takich wizyt gospodarskich, a do czasu wojewódzkiej konferencji przedjazdowej obejmują one wszystkie miasta i gminy województwa.

JAK OBCHODZIC będziemy Święto 1 Maja. W Łomży 30 kwietnia o godz. 14.00 Państwowa Orkiestra Włosciańska im. Namysłowskiego z Zamościa da koncert dla młodzieży szkolnej, a w miejscach pamięci narodowej złożone zostaną kwiaty. O 17.30 odbędzie się wiec mieszkańców przy Zespole Przychodni Specjalistycznych, połączony z oficjalnym oddaniem obiektu do użytku, natomiast o 18.00 — kolejny koncert Orkiestry Włosciańskiej, tym razem dla uczestników wiecu. 1 maja po pochodzie odsłonięta zostanie tablica upamiętniająca jednolitofrontową manifestację pierwszomajową sprzed 50 lat, a później rozpoczyna się imprezy sportowo-rekreacyjne: biegi, festyny, kiermasz książkowy, dyskoteka w Klubie „Stałe Zajęcie” itd. Podobnie przebiegać będą uroczystości w pozostałych miastach i gminach. Poprzedzą je, organizowane od 26 do 30 kwietnia, uroczyste akademie.

GŁÓWNA WOJEWÓDZKA impreza z okazji miesiąca pamięci na-

rodowej odbędzie się 29 kwietnia w Liceum Ogólnokształcącym w Łomży, które gościć będzie kombatantów-więźniów obozów koncentracyjnych. Grupa około 20 osób uhonorowana zostanie po raz pierwszy Krzyżem Oświęcimskim.

W **MARCU I KWIETNIU** 25 rad narodowych województwa rozpatrzyło sprawozdania naczelników miast i gmin z realizacji rocznego planu społeczno-gospodarczego i budżetu za 1985 r., zatwierdzając je i udzielając absolutorium. Trzy rady dokonały ponadto zmian w planach zagospodarowania przestrzennego, kilkanaście — podjęło uchwały o przystąpieniu do turnieju „Mistrz gospodarności”. Nowym naczelnikiem w Grabowie został Zygmunt Potrzebko.

WOJEWÓDZKA INAUGURACJA Dni Olimpijskich odbyła się w Zespole Szkół Rolniczych w Marianowie. Zgodnie z ceremoniałem wciągnięta została na maszt flaga olimpijska, zapalony znicz i odczytany Apel Olimpijski. Uroczystości okrasili pokazy gimnastyczne w wykonaniu członków SKS „Iskra” oraz międzywojewódzki turniej w koszykówce dziewcząt.

Z INICJATYWY DZIAŁACZY Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej wznowia swą działalność zespół pracujący nad historią ponadpodstawowego szkolnictwa łomżyńskiego, a zwłaszcza gimnazjum męskiego, obecnie Liceum Ogólnokształcącego. W związku z tym Zarząd Główny Towarzystwa zwraca się do wszystkich wychowanków średnich szkół łomżyńskich lub ich rodzin z prośbą o przekazanie, opracowywanie lub wypożyczanie dokumentów, zdjęć, wspomnień, pamiątek dotyczących szkół, nauczycieli i wychowanków. Ewentualne przesłanki można kierować pod adresem: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, Zarząd Główny, 18-400 Łomża, ul. Armii Czerwonej 22.

ZWYCIĘZCĄ FINAŁU wojewódzkiego turnieju wiedzy o wynalazczości dla młodzieży szkolnej został Adam Filipowicz z Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Zambrowie, a kolejne miejsca zajęli: Izabela Panasiuk z ZSOiZ w Grójcu oraz Andrzej Tomaszewicz i Dorota Mierzejewska z ZSO w Łomży. W klasyfikacji zespołowej zwyciężył ZSO w Łomży przed ZSOiZ z Grajewa i ZSO z Wysockiego Mazowieckiego.

KOMENDA GŁÓWNA Straży Pożarnej zorganizowała spotkania dziennikarzy z pracownikami zawo-

dowej i członkami ochotniczej straży pożarnej w województwie łomżyńskim. Podczas dwudniowego pobytu przedstawiciele prasy obejrżeli powstałe w czynnie społecznym strażnic w Czarnocinie, Kalinowie, Wiśniewie, Ciemnoszyjach, zwiedzili Muzeum Pożarnictwa w Szczuczynie, a w Zakładach Płyt Wiórowych podziwiali umiejętności strażaków podczas nieporozumianej akcji gaśniczej.

W **ZWIĄZKU ZE ZBLIŻAJĄCYM** się 100-leciem języka esperanto Polski Związek Esperantystów organizuje „Quiz esperanto”, w którym należy odpowiedzieć na następujące pytania: 1) Kiedy ukazał się pierwszy podręcznik do nauki języka esperanto? (podać rok); 2) Kto był twórcą języka? (podać nazwisko i lata, w których żył). Wśród uczestników quizu, którzy nadesłali prawidłowe odpowiedzi, organizatorzy rozlosują atrakcyjne wycieczki do Bułgarii i na Węgry. Odpowiedzi, wyłącznie na kartkach pocztowych, należy nadsyłać pod adresem: Polski Związek Esperantystów, „Quiz esperanto”, 00-013 Warszawa, ul. Jasna 6, w terminie do 10 maja 1986 r.

PONAD 30 BUDYNKÓW sakralnych wznosi się obecnie w województwie. Są to, m.in., 3 kościoły, 10 kaplic, 6 punktów katechetycznych, 9 plebanii i Wyższe Seminarium Duchowne.

W **I KWARTALE** br. strażacy wyjeżdżali do 74 pożarów, które spowodowały straty wartości ponad 47 mln złotych (w I kwartale 1985 r.: 83 pożary, 18 mln złotych strat). Główną przyczyną nieszczęść były zazwyczaj wady urządzeń elektrycznych i ogrzewczych oraz nieostrożność osób dorosłych.

NIE MAJĄ POWODÓW do zadowolenia łomżyńscy działkowcy. Najwyższa pora zabierać się do uprawy ogródków, tymczasem w sklepach WSOP-u brakuje wielu podstawowych towarów. Próżno by szukać masek ogrodniczych czy czarnej folii, dopiero niedawno pojawił się torf. Nie kupi się też nasion cebuli dymki, heterozyjnych, nowoczesnych odmian ogórka, cukinii czy innych oryginalniejszych warzyw. Nie było i nie będzie sadzonek wiśni, śliw, czereśni. Są wyskokopienne jabłonie, lecz nie nadają się zbyt do sadzenia na działkach. Jeszcze dwa lata temu dostępna była powszechnie borówka amerykańska, jednak ze względu na słaby zbyt (spowodowany zapewne głównie brakiem odpowiedniej reklamy) w tym roku WSOP nie sprowadza jej w ogóle. Spółdzielnia zainteresowana jest zaopatrywaniem producentów wysokotowarowych i zaniebija działkowców, natomiast Wojewódzki Zarząd Pracowniczych Ogródków Działkowych nie ma jeszcze wystarczającej siły przebicia, by zakładać własne sklepy firmowe.

wieści gminne

SZUMOWO. Równie dramatyczna jak z węglem jest sytuacja z nawozami. Wobec ich dotkliwego braku jakiegokolwiek doraźnego rozwiązania problemu nie zyskują uznania rolników, choćby wprowadzona przez GS reglamentacja, wedle której każdemu oczekującemu w kolejce sprzedaje się po 5 kwintali nawozów. Rolnicy proponują, aby wprowadzić sprzedaż proporcjonalnie do ilości posiadanej ziemi. Gminna Rada Narodowa pod naciskiem potrzeb podjęła uchwałę zobowiązującą prezydium GRN do wprowadzenia rozdzielnictwa dystrybucyjnych artykułów. Są jednak obawy, czy z kolei Prezydium WRN nie uchyli jej, gdyż przepisy zabraniają wprowadzania regionalnych reglamentacji. Póki co ustalają się czarnorynkowe ceny, np. za saletę — 3000 złotych.

● Jakby tego było mało, wciąż nie została rozwiązana, zgodnie z ekonomicznym rozsądkiem, sprawa zaopatrzenia w paliwo. W Szumowie i Srebrnej są stacje paliw, w których mogliby zaopatrywać się rolnicy. Niestety, SKR na drugi kwartał otrzymał 8 tysięcy ton oleju napędowego, potrzeba natomiast ok. 100 tysięcy. Rolnicy będą musieli więc jeździć do odległego o kilkanaście kilometrów Zambrowa. Nietrudno obliczyć, ile paliwa zostanie zużytego na przejazd.

● W natłoku codziennych zmartwień gminy nie zapominają o wywodzących się z tych okolic społecznikach. Z myślą o uczczeniu urodzonego w Pęczracie Bolesława Podedwornego na budynku szkolnym w tej wsi 19 maja odsłonięta zostanie tablica pamiątkowa.

RADZIŁÓW. Prawie każdy wie, że jesteśmy w stanie produkować własne pasze wysokobiałkowe. Taką jest teoria. W praktyce w gminie Radziłów rośliny strączkowe stanowią nieznaczny margines upraw. Stosowane odmiany wymagają np. suchych jesieni. Niestety, z pogodą bywa różnie, stąd rolnicy szybko się zniechęcają. Np. w ub.r. w gminie tylko 30 hektarów zajęły uprawy bobiku. Nieliczne są plantacje kukurydzy (ze względu na wysoki koszt zbiorów, na dodatek w gminie nie ma specjalistycznych maszyn do jej zbioru).

● Czy kobieta wiejska ma szansę chodzić na co dzień z polakierowanymi paznokciami i w makijażu. Pracownicy placówki WOPR-u w Radziłowie twierdzą, że tak, ale pod warunkiem, że gospodarstwo będzie zmechanizowane, i podają przykład: przy użyciu kombajnu ziemniaki z 5-hektarowego zagroń zbiera się w ciągu dwóch tygodni, stosując kopaczkę — zbiór z dwóch hektarów trwa miesiąc. Lecz jak usprawnić prowadzenie gospodarstwa domowego, jeśli bodaj przez 5 lat nie było dostawy kucharek elektrycznych?

WĄSOSZ. Trwa budowa nowego, wielofunkcyjnego pawilonu handlowego. Na pewno znajdą się w nim sklepy różnych branż i — może — bar gastronomiczny. Jest jednak jeden szkopuł. Budynek zlokalizowany został obok bazy skupowej, czyli ponad 2 kilometry od centrum Wąsosz, a ulica Mazowiecka, łącząca oba punkty, nadal tonie w błocie.

● Nadal nie jest dobrze z zaopatrzeniem w pieczywo. Np. w ubiegły piątek o 13.00 przed pawilonem handlowym stała kilkunastoosobowa kolejka po chleb. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby kilka minut wcześniej pan prezes oddziału GS-u nie zapewnił dziennikarza, że chleb jest w ciągłej sprzedaży.

● W sąsiednim Radziłowie młyn jest już nieczynny, gdyż GS dokładał do interesu. W Wąsoszu wprawdzie pracuje, ale też nie ma świetlanej perspektywy. Maszyny są wyeksploatowane w 70 proc. Niskie opłaty za prąd przemysłowy uniemożliwiają zakup nowych. Jeśli doliczyć do tego deficyt, jaki przynosi piekarnie, niedługo chyba zabraknie chleba.

Daj upust swojej myśli i odwadź!
Nie ma spraw i problemów tabu!

„Starcia” — Klub Dyskusyjny „Kontaktów” — wspólnie z WOKI

zapraszają

na kolejną dyskusję panelową pod hasłem:

GDZIE TKWI ZŁO?

W programie:

♦ publiczne dyskusje z udziałem prof. Mikołaja Kokackiewicza (PAN), dr Marii Łopatkowej (przewodnicząca Komitetu Ochrony Praw Dziecka), Edwarda Kupiszewskiego (autor m.in. popularnej powieści „Pokochoć w sierpniu”), doc. dr. hab. Adama Dobrońskiego (Filia UW w Białymstoku), Franciszka Alińskiego (prezes Sądu Wojewódzkiego w Łomży) oraz dr Krystyny Kołakowskiej (przewodnicząca Zarządu Oddziału Wojewódzkiego Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego w Łomży);
♦ pokaz głośnego, skandalizującego filmu amerykańskiego pt. „Ameryka, Ameryka”.

Spotkamy się już w najbliższą sobotę (26 kwietnia) o godz. 16.00 w sali kina „Październik”.

Zapraszamy!

zdanie tygodnia

— Rozum nie daje się wybrać według „klucza”

(zasłyszane na konferencji partyjnej)

myśl z atestem

„Nie wystarczy mówić do rzeczy, trzeba mówić do ludzi”.
STANISŁAW JERZY LEC



amacyjna
cja z na-
wego bra-
e próby
zysku
wpro-
tacja, we-
kujacemu
o 5 kwn-
proponuj-
proporcjo-
ej ziem-
pod na-
uchwał-
GRN do
twa defi-
dnak oba-
um WRN
isy zab-
jonalnych
talają się
za saletre
to, wciąż
zgodnie z
a, sprawa
y Szumo-
paliw, w
ywać się
na drugi
ęcy ton
ba nato-
nicy będą
dległego o
ambrowa-
aliwa zo-
dy.
ch zmarn-
ją o wy-
kolic spo-
uczuczeniu
Bolesława
u szkol-
odsonięta
wa.
ażdy wie,
odukować
towe. Ta-
e w gmi-
traczkowe
margines
ny wyma-
Niestety,
ad rolnicy
ją. No
30 hekta-
u. Nielicz-
ydz (ze
zbiorów,
ma spe-
jej zbio-
ma szansę
akierowa-
makijażu
OPR-u w
tak, ale
podarstwo
i podają
kombajnu
go zagro-
ni tygodni.
Lecz jak
gospodar-
daj przez
kuchennek
wa nowe-
lonu han-
da się w
i — mo-
Jest jed-
nek zloka-
zy skup-
metry od
ca Mazo-
kty, nadal
ze z zao-
NP. w u-
d pawilo-
ilkunasto-
Nie by-
uczajnego
niej pan-
zapewnia-
jest w
wie mlyn-
GS do-
Wąsosz-
ż nie ma
Maszyn-
70 proc.
uniemoż-
Jeśli doli-
ki przyno-
chyba za-

porządek od święta

JERZY KARWACKI, p.o. dyrektora Wydziału Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej UW: — Zjemy w brudzie, bo się do tego przyzwyczailiśmy. Nie przestrzegają porządku i nie szanują czystości i tak również wychowują swoje dzieci. W domu, w szkole to tylko odświętne, czasem wyłącznie przedświąteczne, hasło. W mieście, osiedlu, też pamięta się o tym dopiero przy okazji jakiejś akcji. A przecież czystość i porządek są najważniejszymi miernikami wartości człowieka.

O utrzymanie porządku dba w województwie wiele instytucji. Ma swego stróża, sprzątaczkę każdy zakład pracy. Niestety, każda z tych firm działa na własną rękę. Stąd ich działalność jest rozproszona i taka słaba. Gdybyśmy utworzyli wspólny front przeciwko brudowi, podzielili się kompetencjami, skutki byłyby znacznie większe i bardziej widoczne.

Wprawdzie w Łomżyńskim istnieje zespół ds. ładu, który podejmuje próby koordynacji pojedynczych wysiłków, to jednak wyniki tych przedsięwzięć nie są jeszcze zadowalające. Zbyt wielu pracowników i ich szefom nie przeszkadza bałagan, marnotrawstwo, brak estetyki otoczenia. Zbyt wielu mieszkańców naszych osiedli śmieci świadomie, choćby dlatego, że koszt znajduje się dalej niż sięga ręka. A środowisko przeważnie akceptuje ten powszedni nieporządek. Przestawia on tylko mniejszości, jeśli nie jednostkom.

Kolejną przyczyną tolerowania brudu wynika z połowicznych rozwiązań. Są zaniedbane posesje, osiedla wyglądają tak, jakby mieszkali tam wandy, a my, zamiast powołać kompetentną jednostkę, wyposażoną w kary, mandaty, upoważnioną do zaskarżenia przed kolegium, powołujemy tylko zespół koordynujący, a więc ciało społeczne — bez uprawnień. Uprawnienia do karania ma natomiast milicja. Funkcjonariusze odpowiadają więc za porządek w mieście, a winni przecież sprawować pieczę nad bezpieczeństwem obywateli.

kara—sposób na opornych

GILBERT OKULICZ-KOZARYN, wiceprezydent Łomży: — To wprost niedopuszczalne, byśmy żyli w brudzie. Ale prawda jest okrutna i wciąż łatwiej można wskazać brud niż znaleźć porządek. Dyrektor MPKIM wspomina czasem o powołaniu w Łomży służby porządkowej. Na pewno taka by się nam przydała. Symbolicznie już nawet istnieje, tylko że nie ma kompetencji i możliwości egzekwowania. Są to po prostu pracownicy miejskiej gospodarki komunalnej. Służba porządkowa z prawdziwego zdarzenia mogła powoływać miasta liczące powyżej 300 tysięcy mieszkańców.

Radni wielokrotnie interweniują, że młodzie, dzieci niszcza bezzwzględnie trawniki, drzewka, śmieci. To żal, że rodzice tak mało uwagi poświęcają swoim pociechom.

Dziecko jest bystrym obserwatorem życia. Na nic się zda namawianie go do czystości w szkole, jeśli na ulicy podpatrzy niewłaściwe zachowanie się dorosłego. Właśnie ten przypadek przeważnie mu imponuje.

Walka z brudem, niechlujstwem, nieporządkiem trwa. Szkoda tylko, że prym w niej wiodą nakazy i przymusy administracyjny. Ale od czegoś trzeba zacząć. Rozpoczęliśmy kolejną akcję: „Posesja”. Jej pierwszy etap był w kwietniu, drugi będzie w maju, trzeci — na przełomie września i października. Zakładamy, że w tym czasie winni być usunięte wszystkie nieczystości, zaniedbania porządkowe. Na opornych spadną surowe sankcje.

Pytanie, które stawiamy w kolejnym naszym sondażu, wydaje się nieść gotową odpowiedź: „Nie!”. A jednak bałagan, nieporządek wciąż nas otacza. Czy rzeczywiście nie ma więc na ich usunięcie sposobu? A może już nadeszła ta chwila, kiedy wspólnie powiemy: Stop, tak dalej być nie może! Wydajemy bezwzględną walkę brudom i brudasom. Łomżyńskie może być niebogate, ale nie ma prawa być brudne.

czy musimy żyć w brudzie?



najciemniej pod latarnią

BRONISŁAW PODOLAK, wojewódzki inspektor sanitarny: — Akcja „Posesja” jest bardzo pożytecznym przedsięwzięciem, ale byłoby lepiej, gdybyśmy o porządku pamiętali codziennie. Od przestrzegania czystości i zasad higieny zależy przecież nasze zdrowie. Brud jest przyczyną wielu chorób układu pokarmowego, chorób skórnych. Stąd wynika tak ważny społecznie obowiązek: uszanowanie porządku, czystości, powinności higienicznych.

Jesteśmy narodem, który potrafi wybić się ponad przeciętność, zadziwić świat swoją odwagą, pracowitością. Jest to paradoksalne, że nie stać nas na nawyk czystości, tak przecież łatwo dostrzegany u naszych sąsiadów. Ale u nich porządek przestrzegają się przez cały rok, u nas miesiącem czystości uczyniliśmy tylko kwiecień.

Kogo tu winić za tyle brudu, niechlujstwa, za lekceważenie własnych obowiązków i ignorowanie innych? Odpowiedzialnością obarczamy nie jednostki czy instytucje zajmujące się przestrzeganiem porządku, ale całe społeczeństwo, choćby za brak presji na brudasów. W zakładzie pracy za porządek odpowiada jeden z pracowników. Ma nad sobą przełożonych. Prawo przewiduje surowe sankcje za nieprzestrzeganie zasad higieny. Mimo społecznych potrzeb i oczekiwań, tak jeszcze dużo ze strony szefów pobłażania, świadomego niedostrzegania, obojętności. I to nie jest przypadek, ale głęboko zakorzeniony nawyk, który należy bezwzględnie tępić.

Przepisy zobowiązują personel sklepów do noszenia białych, czystych fartuchów. Jeśli kierownicy placówek są wrażliwi na estetykę, przepisu o noszeniu odzieży ochronnej przestrzegają wszyscy. Tam,

gdzie szef przyryka oko, ekspedientki chodzą w kraciastych sukniach.

Obejmując funkcję inspektora marzyłem o tym, by placówki zdrowia stały się wzorcem porządku, czystości, przestrzegania zasad higieny. Tam, gdzie są nowe budynki, założenie to już się spełniło. Mając bastion czystości można myśleć o zdobyciu dalszych przyczółków: zakładów i sklepów przemysłu spożywczego, placówek kultury i oświaty. „Poszanowanie” brudu zaczyna się już od przedszkola, szkoły, i wlecze się za człowiekiem przez całe życie. Zatem zmiana nawyków musi być zapoczątkowana w placówkach oświatowych. Młodzież nie może odnosić wrażenia, że porządek jest jednym z elementów dekoracji, przygotowywanej przed świętami, akademią. Musi być przede wszystkim obowiązkiem codziennym i podstawowym kryterium oceny człowieka.

Co roku kontrolerzy akcji „Posesja” przypominali, uswiadami. W tym — bałaganiarz od razu zapłaci wysoką karę. Jeśli nie pomogły prośby, groźby, niech się przekona, że brud kosztuje drożej niż porządek.

Czasami jednak brakuje słów. Ostatnio musiałem zamknąć bufet w Urzędzie Wojewódzkim, gdyż serwowali przeterminowane artykuły spożywcze, a do podgrzewania zapiekanek użyli podgrzewacza. Naczelnik czy mieszkaniec wsi ma gotowy argument: „Jeszcze u nas nie jest najgorzej, jeśli pod bokiem wojewody jest tak źle”.

Zamierzam wykorzystywać zdjęcia pokontrolne w stałych witrzynach, niech opinia publiczna Łomży i województwa wie, jakich ma brudasów.

gdy jeden sprząta

ZYGMUNT STEFANOWICZ, dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Łomży: — Na utrzymanie, konserwację i zakładanie nowych obiektów otrzymaliśmy od władz 18 milionów złotych, a potrzeba dwukrotnie więcej.

Wiele osób kojarzy pracę w naszym przedsiębiorstwie z archaicznymi atrybutami: ścierką, wodą i szczotką. Potrzeba nam sprzętu i nakładów. Choćby małych pojemników na śmieci brakuje ponad 2 tysięcy, tj. około 50 proc. Producent nie może przyjąć naszych zamówień, bo nie mają białych cynkowych. „Dajcie nam materiał — mówią — wyprodukujemy”.

Gdybyśmy mieli pod dostatkiem śmietników, kłopoty z zanieczyszczeniem ulic, parków, osiedli byłyby mniejsze. Miesięczna opłata za mały pojemnik na śmieci wynosi 40 złotych, wywóz nieczystości — 30. Dużych pojemników mamy pod dostatkiem, ale nie ma na nie chętnych. Opłata dzierżawna jest stosunkowo wysoka i wynosi 500 złotych za miesiąc. Do posesji się więc nie nadają. Ponadto niejedni właściciele woli, zamiast korzystać z naszych usług, wyrzucić nieczystości na teren sąsiada, wywieźć do najbliższego lasu.

Pojazdów do wywozu śmieci mamy pod dostatkiem. Możemy wywieźć o jedną trzecią więcej. Przed popularnymi imieninami, świętami pojemniki na odpady zasypywane są czterokrotnie szybciej. Robienie porządków jest więc zjawiskiem sezonowym. Potwierdzają to także brudne klatki, okna. Zwróciłem kiedyś jednej pani uwagę, dlaczego wysypuje śmieci przed klatkę, skrzychała mnie, że sprzątanie należy do gospodarki komunalnej, a mnie, jeśli będę ją pouczał, wiadro wsadzi na głowę.

Wprawdzie i Spółdzielnia Mieszkaniowa, i ADM zatrudniają gospodarzy budynków, ale gdyby oni nawet chcieli sprostać swoim obowiązkom, to ich starania i tak zakończą się fiaskiem, bo gdy jeden sprząta, a pozostali śmieci, to utrzymanie porządku jest niemożliwe.

nie ma tłumaczenia!

CECYLIA JANKOWSKA, kierowniczka Wojewódzkiego Oddziału Delegatury NIK-u ds. Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej: — Jest to skandal, by dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej tłumaczył, że nie można zaprowadzić porządków, bo brakuje 2 tysięcy pojemników. Najlepiej powiedzieć: „Nie ma” i nie w tej sprawie dalej nie robić. Walka z brudem to także walka o porządek i załatwianie spraw.

Rzeczywiście można w Łomży przemierzyć całą ulicę i nie spotkać śmietnika, toteż papiery wędrują na chodnik.

Aby był porządek, muszą być przede wszystkim porządni ludzie. Kontrolowaliśmy oddziały PKS-u. Wydaliśmy zalecenia i terminy. Wśród wielu naszych zastrzeżeń stwierdziliśmy również, że autobusy łomżyńskie są bodaj najbrudniejsze ze wszystkich przyjeżdżających do Łomży. To samo zaleciliśmy w rekontrolu. Niestety, nasze polecenia nie zostały wykonane. Brud trudny jest w tym przedsiębiorstwie do usunięcia. Tak tam już wszyscy do niego się przyzwyczaili.

Do IRCh-y wpływa wiele wyjaśnień pokontrolnych. Często wręcz śmiesznych. Proponuję nie tracić czasu na argumentację, bo czas to pieniądz, a bałaganu mamy jeszcze niemało. Weźmy się przede wszystkim do roboty: porządnej, uczciwej i wreszcie zamiast pisać wyjaśnienia, myśleć nad tym, jakby się wytłumaczyć z niewykonywania tego, co do nas należy, a przyjmijmy dewizę, że w zasięgu naszej ręki wszystko jest możliwe.

Dziś wszystko by się robiło za pieniądze. Gdy chodziłam do LO, bardzo często w czynię społecznym sprzątałam nie tylko przed szkołą, ale cały park. Warto by do tych tradycji powrócić.

Przygotował
STANISŁAW ZIELIŃSKI

sondaże



JACEK BLASZKIEWICZ: — O moim wyborze zdecydowałem czas. Nikt nie przychodzi na świat z określonym światopoglądem i zasadami życiowymi; jest czystą kartą, którą zapisuje życie. Jak? Myślę, że zgodnie z kształtowaniem się osobowości człowieka, na którą ma wpływ suma doświadczeń nabytych w obcowaniu z innymi, a także zasady moralne wyniesione z domu rodzinnego i wyobrażenia o własnym uczestnictwie w dorosłym życiu społecznym i politycznym.

Podczas nauki w szkole podstawowej, średniej i studium nie należałem do żadnej organizacji. Nie oznacza to, że przemawiało przeze mnie wygodnictwo, chęć życia „w świętym spokoju”, stania z boku i przyglądania się porażkom lub sukcesom innych. Zawsze uważałem, że praca społeczna zobowiązuje. Przede wszystkim nie może być synonimem korzyści własnych, oglądania się na kolegów i zbierania oklasków. Człowieka najlepiej poznaje się przy działalności społecznej, gdzie nikt nikomu nie powinien nakazywać, tłumaczyć, przekonywać, lecz zwyczajnie, z ludzkim gestem, wyjść do potrzebujących pomocy, ponieważ „pracować społecznie” znaczy: „podać rękę”. Do takiej świadomości trzeba dorosnąć. Nie ma tu znaczenia wiek, lecz dojrzałość psychiczna. Jeżeli ktoś wstępuje do organizacji tylko dlatego, że robią tak wszyscy, krzywdzi nie tylko innych, ale przede wszystkim siebie. Czas pokaże, że przed oceną środowiska nigdy się nie ucieknę. Autorytet zdobywa się trudno, nigdy pozorami i robieniem dobrych min, a stracić można go błyskawicznie i potem ciężko lub w ogóle nie odzyskać. Zawsze pamiętałem o tym, czego nauczył mnie mój ojciec: odpowiedzialności za słowa i czyny, mierzenia zamiarów na siłę, czyli potrzeby odpowiedzi przed samym sobą: czy dam sobie radę, podejmując się jakiejś działalności? Tym bardziej gdy chodzi o pracę społeczną, która jest przecież dodatkowym obowiązkiem. Dlatego nie

DLACZEGO WSTAPIŁEM DO PZPR?

podać rękę



spieszyłem się z podjęciem decyzji wstąpienia do organizacji młodzieżowej. Pochodzę z rodziny, w której panowała zawsze tolerancja wobec przekonań. Mój ojciec był członkiem partii, mama jest osobą głęboko wierzącą. Ani jedno, ani drugie nie narzucało swojemu potomstwu własnej woli; dobra uczyli nas oboje. Ojciec pozostał dla mnie zawsze ideałem. Był wspaniałym człowiekiem, niezwykle rzeczowym i konsekwentnym, wymagającym, także wobec siebie. Miał wielu przyjaciół,

umiał rozmawiać z ludźmi. Nigdy nie wyobrażał sobie podjęcia się jakiegось zadania i czekania na cud lub dokonanie go przez kogoś innego. Godność była dla niego wartością najwyższą i tego starał się dowiedzieć w swoim postępowaniu.

W powszechnej opinii każdy milicjant musi być członkiem partii. Nic bardziej błędnego. Od czterech lat noszę mundur, a od roku jestem kandydatem partii. Nie oznacza to, że wcześniej problemy naszej organizacji partyjnej były mi obce. Każdy człowiek rozpoczynający pracę w nowym środowisku czuje się nieco zagubiony, a proces adaptacji społecznej nie zawsze przebiega właściwie. Ja miałem to szczęście, że trafiłem do grupy osób, dzięki którym od pierwszych dni nie czułem się jak „nowy”. Moi koledzy, członkowie partii, włożyli wiele serca w przygotowanie mnie do nowych czynności. Byli i są dla mnie ludźmi, na których zawsze mogę polegać. Uczestniczyłem we wszystkich zebraniach otwartych i mogłem dokładnie poznać, na czym polega działalność i rola POP w mieście. Muszę przyznać, że niejednokrotnie byłem zaskoczony rzeczowością zebrań, aktywnością ludzi, głosami w dyskusji, które dotyczyły spraw istotnych nie tylko dla naszego środowiska zawodowego, ale także miasta. Zażarte dyskusje toczyły się także po zebraniach. Widziałem też, że wnioski nie trafiały na dno szuflady. Na następnych zebraniach ludzie musieli otrzymać odpowiedź, czy i jak sprawa została załatwiona.

Nikt nie podsunał mi deklaracji, nie namawiał do wstąpienia. Któregoś dnia sam powiedziałem o tym sekretarzowi. Dostałem czas do namysłu. Zapoznałem się jeszcze raz ze „Statutem” (zresztą odziedziczonym po ojcu). Koledzy udzielili mi rekomendacji. Ktoś spytał, dlaczego czekałem tak długo. Powiedziałem, że bycie członkiem PZPR to nie jest sprawa schowania legitymacji do kieszeni i regularnego płacenia składek, lecz przyjęcia odpo-

wiedzialności już nie tylko za siebie i swoich najbliższych. Najłatwiej stanąć przy rozwalającym się płocie, założyć ręce i krytykować, że, na przykład, gdzieś źle ułożono chodnik, zbudowali krzywą ścianę lub wynoszą z zakładu społeczne mienie. Krzykaczom zawsze jest źle, bo nie rozumieją, że od krzyku może tylko boleć głowa, a nie przyniesie nawet centymetr równiejszej ściany.

Do partii przyciągnęły mnie także formy pracy POP, która odżyła swoją pozycję zgodną ze słowami Lenina o znaczeniu podstawowego ogniw partii komunistycznej. Najważniejsze jest to, co myślą i czują zwyczajni członkowie. Jeśli ludzie będą się bali odezwać na zebraniu partyjnym, krytykować na gorąco to, co ich bulwersuje i boli, proponować własne rozwiązania sytuacji konfliktowych, partia nigdy nie będzie blisko życia. Członek PZPR musi być odważny i bezkompromisowy, jeżeli walczy w słuszej sprawie. Nie może liczyć na żadne względy czy przywileje w przypadku uchybień względem zasad etycznych, jak uczynił to pewien lekarz z opowieści znajomego lekarza: pełnił on kiedyś dyżur w turystrycznej miejscowości, gdy zjawił się u niego mieszkaniec innego miasta z prośbą o bezpodstawnie zwolnienie lekarskie. Lekarz odmówił, na co „pacjent” z krzykiem pomachał mi przed nosem legitymacją partyjną, podając się jeszcze za sekretarza POP. Ów lekarz spokojnie sięgnął po swoją.

Myślę, że każdy członek partii powinien być termometrem wrażliwości społecznej. Chciałbym, aby to, co ludzkie, nigdy nie przeszło obok mnie, a mój głos i praca w organizacji przyczyniły się do budowy autorytetu PZPR.

Notował

GABRIELA SZCZESNA

Młodszy chorąży **JACEK BLASZKIEWICZ**, lat 27, kandydat PZPR od kwietnia 1984 r., jest pracownikiem Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łomży.

REFORMA Z BLISKA

„Narew” dzieli los większości dużych zakładów przemysłowych, który można określić jednoznacznie jako totalny niedobór wszystkiego: od ludzi — przez surowce — do środków finansowych. Z takim bagażem utrapień muszą poruszać się po niepewnym jeszcze, prawnym gruncie reformy, rozwiąć się sięgając po możliwości, jakie to prawo stwarza. W tezach na X Zjazd stwierdza się, że „Wypracowanie konkretnych sposobów wykorzystania dźwigni przyspieszenia rozwoju powinno stanowić zasadniczy cel dyskusji przed X Zjazdem w każdej partyjnej organizacji. Było więc o czym porozmawiać na przedzjazdowej konferencji partyjnej z udziałem przedstawicieli władz centralnych i wojewódzkich.

Zaczęło się od historii: dyrektor Tadeusz Sawicki przypominał, że LZPB wystartowało z bardzo niekorzystnej pozycji, tzn. zbyt dobrej. W latach największego załamania gospodarczego przedsiębiorstwo pracowało pełną parą przy relatywnie niskich płacach. Kiedy zapanowała reforma, premiowano wzrost produkcji, a „Narew” nie miała już żadnych rezerw. Do dziś ponosi tego konsekwencje w postaci niskich zarobków. Do tego branża włókiennicza nie daje żadnych możliwości zmiany profilu produkcji. Pozostaje „tluczenie” tych samych tkanin z tej samej (kiepskiej) przędzy, od której dostaw są całkowicie uzależnieni. Kłopoty zaopatrzeniowe nie kończą się na surowcach; jak bieda przycisnęła, to komponenty chemiczne załatwiają przez KC, a węgiel — przez Sejm. I tak przez okrągły rok trwa szarpanina: trwonienie sił na załatwienie wszystkiego wszelkimi dostępnymi kanałami. Na domiar złego — do finansowych obciążeń przedsiębiorstw państwowych, obok podatku dochodowego i PFAZ-u, doszedł podatek na Fundusz Obsługi Zadłużenia, który uszczuplił kasę rozwoju LZPB o 29 397 000 złotych, pozostawiając jeszcze mniej środków do własnej dyspozycji. Czarę goryczy dopełnił błąd buchalteryjny, wskutek którego zakład musi odprowadzić do banku 13 milionów, tj. — bagatela — 20 proc. zysku.

Kiedy obecni poznali ciężką dolę firmy, pozostało tylko odpowiedzieć na pytanie: jak jej, choć w części, zaradzić. Sekretarz KZ-u i dyrektor zgodni byli co do jednego: możliwości zwiększenia wydajności pra-

cy nie ma. Rezerwy tkwią w jakości i oszczędności. Ale jak owe rezerwy uruchomić, tego już ani z ust kierownictwa, ani z dyskusji nie można się było dowiedzieć.

Wydaje się, że tradycyjne sposoby rozwiązywania ekonomicznych problemów zapanowały w przedsiębiorstwie niepodzielnie i twardo bronią swego stanu posiadania. Powoduje to szczególne rozwodzenie w interpretowaniu niektórych zjawisk.

Przykład pierwszy. W wypowiedzi dyrektora Sawickiego znalazło się, słuszne zresztą, stwierdzenie, iż rosła cena surowców oraz opłat przewozowych, a możliwości przeniesienia tych dodatkowych kosztów w ceny wyrobów nie ma, ponieważ obowiązuje blokada cen, drastycznie obniżająca rentowność. Dopiero po pertraktacjach z Urzędem Cen udało się wywalczyć ich podwyżkę, co ową rentowność gruntownie podreperowało. Jak na ironię — postulaty komisji uchwał i wniosków konferencji skierowane do X Zjazdu zawierają zdanie o tym, że podwyżka cen nie może odbywać się kosztem poziomu życia społeczeństwa i trzeba koniecznie szukać rezerw w wydajności i oszczędności. To w końcu podnosić ceny czy nie?

Przykład drugi. Zakład wystąpił do ministra finansów o umorzenie owoch 13 milionów, które są rezultatem fatalnego błędu rachunkowego. Logicznie rozumując, odpowiedź szefa resortu finansowego może być tylko jedna: wasz błąd, wasza strata. Ale w „Narwi” nie tracą nadziei: jak się dobrze uzasadni, przynajmniej część zostanie darowana, a to już i tak

UROK UTARTYCH SZLAKÓW



będzie czysty zysk. Wśród wniosków z konferencji znajdujemy taką myśl: „Wynik ekonomiczny powinien być jedynym kryterium oceny przedsiębiorstwa, a nie siła przebiecia w centrali”. Bardzo słusznie. Tylko jak określić zabiegi w ministerstwie finansów, jeśli nie jako wykorzystywanie własnej siły przebiecia?

Za tę podwójną moralność trudno winić tylko zakład. Dopóki będzie możliwe indywidualne dochodzenie ulg, zwolnień, dotacji, dopóty przedsiębiorstwa będą wydeptywać ścieżki do ministerstwa, bo co szkodzi spróbować. Stare, wytarte trakty wciąż jeszcze prowadzą do celu, dlatego więc z nich rezygnować? Tylko że w takiej sytuacji na plan dalszy spada rzeczywiste działanie, tzn. poszu-

kiwanie rozwiązań poprawiających efektywność. Nie znaczy to wcale, że prób takich rozwiązań w „Narwi” w ogóle nie ma; np. od dawna pracują zakładowe zespoły podarce, powołane do zaradzenia „wąskich gardeł” w tkalni i wykończalni. Są to jednak próby wy-muszone doraźnymi kłopotami i nie wybiegające w przyszłość. Zwracając na to uwagę — przemawiający imieniu gości — sekretarz Jamlikowski; mówił o bierności, nie wykonanym programie oszczędnościowym, małym funduszu rozwoju. Wprawdzie wiele problemów ma swoje źródło poza przedsiębiorstwem, to jednak nie da się ich rozwiązać tylko na drodze incydentalnych decyzji i indywidualnych ulg.

JAN ONISZCZUK

kryteria



— Pogłoski o likwidacji nie ustają — mówi Henryk Ptasznik. — Dyrekcja ZOZ-u w Wysokiem zajęła się przede wszystkim rozbudową tamtejszej placówki. Nam mówiono: nie ma was w siatce ministerstwa; taki szpital nie może istnieć. Za blisko do Wysokiego!

Pojawił się stary argument: trzydzieści kilometrów to żadna odległość, w ciągu godziny jesteśmy w Łodzi, w Wysokiem z najdalszego zakątka rejonu.

— Komu oni chcą to wmówić?

— Irytuje się Jan Bondarenko.

Po co to gadanie, kiedy rzeczywistość jest taka: z Ciechanowca, owszem, jest do Wysokiego trzydzieści kilometrów z hakiem, ale z Perlejewą będzie z pięćdziesiąt, z innych wsi jeszcze dalej. Zimą jest tak: jak śnieg popada, to i bez wiejskiej zawiei najpierw trzeba puszczać pluga, a za nim wlecze się karetka z chorym.

— Do naszego szpitala ciąży w tej chwili trzydzieści tysięcy mieszkańców okolicznych wsi — argumentuje Marian Kapliński. — Gdyby były warunki, mógłby tu funkcjonować średniej wielkości Zespół Opieki Zdrowotnej. Ludzie przyjeżdżali się jeździć do lekarza do Ciechanowca; ufają nam, a my staramy się przedłużyć dobre tradycje placówki, choć przychodzi nam to z coraz większym trudem, bo warunki lokalowe są opłakane.

pierwsze podejście

— Najłatwiej wypuścić coś z rąk — dzieli się smutną refleksją Henryk Ptasznik.

U schyłku czasów powiatowych wypuścili z rąk zakład mleczarski. Mechanizm był podobny: w Siemiatyczach powstał nowy zakład, który wchłonął rejon Ciechanowca. Teraz mleko wożone jest do Wysokiego. Jakich kłopotów przysparza transport — lepiej nie mówić. Czyżby 4-tysięczne miasteczko skazane było nieodwołalnie na powolny upadek i degenerację?

— Nigdy się z tym nie pogodził — zaklina się Jan Bondarenko. Ze ścian jego gabinetu w lecznicy dla zwierząt spogląda z portretu ksiądz Krzysztof Kluk, obok jakiś nobliwy pan w halsztuku, dalej osobnik z bujną, secesyjną brodą i cała galeria mężczyzn we współczesnych krawatach. To poprzednicy Bondarenki na tym stanowisku. Tradycja. Po co niszczyć to, co powstało przez wieki? Dla całej okolicy Ciechanowiec był i pozostanie centrum.

— Opowiem pani anegdotkę — ożywia się Jan Bondarenko. — Przed wojną zwrócono się do profesora Nowaka, lekarza weterynarii, z propozycją, by objął urząd premiera. „Ależ panowie, na litość boską! Czyżby nasze państwo zachorowało na końską chorobę?” — zawołał profesor.

Coś w tym rodzaju przydarzyło mu się przy pierwszym poważnym podejściu do sprawy szpitala. Oczywiście, na mniejszą skalę, prawie nic nie znaczącą. W roku 1981 powstał w Ciechanowcu pierwszy społeczny komitet rozbudowy szpitala, którego został przewodniczącym. Końska choroba dała o sobie znać: chodziły słuchy, że lada tydzień szpital ma być zamknięty.

— Szpital obroniliśmy, ale rozbudowy nie udało się pchnąć do przodu, mimo że sprawa była załatwiona na wysokich szczeblach. — Pojechaliśmy do ministra Szelachowskiego w drugim dniu po objęciu przez niego urzędu — wspomina Kazimierz Uszyński, dyrektor Muzeum im. Krzysztofa Kluka. — Rozmowa była miła, minister wysłuchał naszych argumentów i przyznał nam rację. Stwierdził, że szpital w Ciechanowcu jest potrzebny, i obiecał pomóc przy rozbudowie.

— W społecznym Komitecie powstały dwie koncepcje — mówi Jan Bondarenko. — Ja osobiście byłem (i jestem) zdania, że rozbudowa nie ma sensu. Działka, na której zlokalizowano budynek szpitala, pochodzi z końca XVIII wieku, jest za ciasna. Ale minister wyrzucił nam z głowy marzenia o budowie nowego. Powiedział, że mo-

dernizować, rozbudowywać można, a zaczynać nowych inwestycji nie wolno.

Bondarenko był zdecydowany walczyć dalej, lecz inni członkowie komitetu nie poparli go. Zadowolili ich obietnica pomocy przy rozbudowie i modernizacji. Dlatego złożyli rezygnację.

— Minister Szelachowski załatwił nam wejście do wicepremiera Komendy — kontynuuje Kazimierz Uszyński. — Ten obiecał pieniądze z funduszu przeciwalkoholowego. Wróciliśmy do Ciechanowca zadowoleni i przekonani, że sprawa ruszy wreszcie z miejsca.

Niestety, Wydział Zdrowia Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi z rezerwą odniósł się do skutków warszawskiej wizyty zdeteminowanych działaczy z Ciechanowca.

— Nie chcieli nas poprzeć — twierdzi Kazimierz Uszyński. — Powiem wprost: dyrektor Znosko był przeciwny. Głosił, że są pilniejsze potrzeby w województwie niż nasza rozbudowa i że trzeba realizować sprawy etapami, a załatwienie naszej Wydział przewiduje dopiero po roku 1990. Dla nas było to nie do przyjęcia. Stan techniczny i sanitarny budynku, w którym znajduje się szpital, jest bardzo zły; choćby z tego powodu lada

MARIA KACZYŃSKA

KOŃSKA CHOROBA



moment może on być zamknięty. Mimo wyraźnej niechęci Wydział Zdrowia zlecił jednak opracowanie dokumentacji rozbudowy i modernizacji szpitala.

— Czegoś tu nie rozumiem — zachodzi w głowę Jan Bondarenko. — Jeśli się nie zgadzali, to czemu zlecieli dokumentację? Efekt jest taki, że wyrzuconych zostało w błoto 300 tysięcy.

Koncepcja, opracowana w białostockim „Miastoprojekcie”, została odrzucona przez ekspertów Ministerstwa Zdrowia — nie spełniała wymogów formalnych.

— Dla Łodzi było to argumentem: „Widzicie, rozbudowa nie jest możliwa!” Dyrektor Znosko skrzętnie ukrywał, że chodzi o to, iż nie dopilnował projektanta. Nie dopilnowali, bo nie chcieli.

drugie podejście

— Dorobkiem naszych poprzedników jest to, że szpital pozostał w siatce obiektów lecznictwa zamkniętego Ministerstwa Zdrowia —

komentuje działalność poprzedników z roku 1981 Antoni Kondrat, przewodniczący komitetu, który ukonstytuował się w połowie ubiegłego roku. — Raz na zawsze skończyły się spekulacje na temat: zlikwidują czy nie?

Za cel postawili sobie doprowadzenie wreszcie do modernizacji głównego budynku, rozbudowy placówki i reaktywowania, zamkniętych kilkanaście lat temu, oddziałów. Najważniejszą sprawą było pokonanie oporu Łodzi.

— Postanowiliśmy przekonać ich, że nie jest to sprawa ambicji kil-

Postanowiliśmy zebrać trzydzieści — mówi Antoni Kondrat. — Na budowę nie wystarczy, ale przecież nie o to chodzi. Musimy przekonać Łomżę, że ludziom zależy.

Również pracownicy szpitala postanowili dać wyraz swojemu stanowisku — mówi Marian Kapliński. — Wykorzystujemy do tego nasz jubileusz 25-lecia.

Sesje naukowe, wystawy, koncerty. No i kabaret. Każda prowadząca do celu metoda jest dobra.

Dawali przedstawienie dwa razy przy nabitej sali — śmieje



się Antoni Kondrat. — Już dawno żaden artysta nie miał u nas takiego powodzenia.

— Wybieramy się na gościnne występy do Wysokiego i Bielska — mówi z powagą Marian Kapliński.

Jesienią ubiegłego roku przyjechał do Łodzi Tadeusz Szelachowski. Zapoznał się z sytuacją i stwierdził publicznie, iż lokowanie wszystkich ambicji i środków tudzież energii urzędniczej w szpitalu wojewódzkim było błędem, wytworzyło bowiem pustkę w okresie wyczekiwania na ten szpital. Korzystniejsza byłaby, zdaniem ówczesnego ministra, systematyczna praca nad rozwojem istniejących szpitali.

— Gdzie oni mieli głowę do Ciechanowca! — rezonuje Jan Bondarenko. — Mowa była taka, że szpital wojewódzki obejmuje swoim działaniem nie tylko województwo, ale i Helsinki! No i uciekło dziesięć lat.

chłodny sceptycyzm

Tadeusz Szelachowski zapewnił działaczy z Ciechanowca, że trwa w zamiarze pomocy dla ich sprawy, powziętym w roku 1981. Potwierdził to również już jako wiceprzewodniczący Rady Państwa na ostatniej sesji WRN-u. Deklarację poparł kwotą 100 milionów złotych. Województwo wysupiało 80 milionów.

— To aż za dużo na pierwszy etap — cieszy się Antoni Kondrat.

W Wydziale Zdrowia Urzędu Wojewódzkiego — dalej chłodny sceptycyzm.

Zlecieliśmy ponownie opracowanie koncepcji rozbudowy — mówi Konstanty Znosko. — Dopóki ona nie powstanie i nie wypowiedzą się eksperci, sprawa jest nadal otwarta.

Konstanty Znosko, choć nie uważa się za eksperta, jest przekonany, że idea upadnie z powodu nieodpowiedniego terenu: działka, na której znajduje się budynek główny, jest za mała. A w ogóle czy jest sens się tak upierać, skoro niedługo zakończy się rozbudowa szpitala w Wysokiem? Prawie pięćset łóżek!



przedszkole w Kolnie

W nawiązaniu do notatki czytelniczki z Kolna („Kontakty” nr 13/86), która dotyczyła przedszkola nr 3 w Kolnie, wyjaśniamy, że dokonaliśmy rozeznania odnośnie faktów przedstawionych w liście. Stwierdzamy, że od początku roku szkolnego do inspektoratu Oświaty i Wychowania w Kolnie oraz do dyrektorki tego przedszkola nie wpłynęła żadna skarga ze strony rodziców, która dotyczyłaby pracy wychowawczej i stosowania niewłaściwych metod wychowawczych. W związku z tym nie zachodziła potrzeba interwencji ze strony dyrektora przedszkola, o której wspomina czytelniczka.

W grupie czterolatek (liczy ona 37 dzieci) pracują nauczycielki z wieloletnim stażem pracy w przedszkolu i właściwie realizują program dydaktyczno-wychowawczy — znajduje to odbicie w dokumentacji i codziennej pracy. Opisane przez czytelniczkę zachowanie nauczycielek oraz stosowane przez nie „nowe metody” nie znalazły potwierdzenia w rozmowie z dyrektorem placówki i rodzicami dzieci.

W pierwszy kwiecień czwartek bieżącego roku przeprowadzono rozmowę z dziećmi w grupie czterolatek. Z rozmowy tej wynika, że dzieci są zadowolone z pobytu w przedszkolu. Przedszkole czynne jest od godziny 7.00 do 16.00. Wszystkie nauczycielki przestrzegają harmonogramu zajęć. Dziennie pracują 4 lub 5 godzin. Swoim wolnym czasem mogą dysponować według własnego uznania. Czytelniczka, autorka listu, nie jest zorientowana w tygodniowym rozkładzie zajęć i stąd te błędne przypuszczenia.

Na podkreślenie zasługuje postawa dyrektorki tej placówki, która — w trosce o sytuację matek pracujących i dobro ich dzieci — przyjęła w ciągu roku szkolnego 21 dzieci ponad normę; w ten sposób pragnęła rozładować trudności związane z brakiem miejsc w przedszkolach na terenie naszego miasta. Takie przeładowanie oddziałów przedszkolnych w dużym stopniu utrudnia pracę wychowawczą.

Jesteśmy pewni, że artykuły lub listy w podobnym stylu nie będą w przyszłości zachętą dla dyrektorów placówek do przyjmowania więcej dzieci niż przewidują przepisy.

ZOFIA KORDAS
starszy wiceprezessor
IOiW w Kolnie

skarga na kierowcę

W nawiązaniu do notatki prasowej („Spiecia”, „Kontakty” nr 14/86) dyrekcja Oddziału Krajowej Państwowej Komunikacji Samochodowej w Łomży informuje, że skarga obywatelki Czesławy Piekarskiej z dnia 1985-11-22 wpłynęła do tutejszego Oddziału 30 listopada 1985 roku. Odpowiedź została udzielona pismem z dnia 10 grudnia, czyli w dziesięć dni później. Przesłaliśmy ją pod adres podany w skardze — Kalinowo 44.

W odpowiedzi, o której mowa, poinformowaliśmy zainteresowaną, że skarga jej była zasadna i że w stosunku do winnego wyciągnięto właściwe wnioski służbowe.

W marcu bieżącego roku otrzymaliśmy od obywatelki Czesławy Piekarskiej pismo, w którym stwierdza, że nie otrzymała odpowiedzi na wcześniejszą skargę. W związku z tym już w trzy dni później (17.03) wysłaliśmy do obywatelki Piekarskiej (na ten sam adres) pismo, w którym poinformowaliśmy ją o wysłaniu pierwszej odpowiedzi oraz o zawartych tam wyjaśnieniach.

Nie mamy pewności, czy obywatelka otrzymała drugie nasze pismo, ale jesteśmy przekonani, że po przeczytaniu odpowiedzi na zamieszczoną w „Kontaktach” notatkę zarówno ona, jak i redakcja przywrócić nam dobre imię w zakresie stosunku do spraw ludzkich.

mgr inż. WŁODZIMIERZ ŁACH
zastępca dyrektora KPKS
Oddział w Łomży

Jest ich ponad 6000 w Czechach, tyleż samo na Morawach i ponad 2000 w Słowacji. Pracują w około osiemdziesięciu przedsiębiorstwach na terenie CSRS. Liczby te ulegają nieustannym zmianom, a rotacja jest olbrzymia. Nie są na tym terenie jedynymi przedstawicielami obcych narodowości; spotyka się tam również duże grupy Rumunów i Węgrów, a także Wietnamczyków.

W WIEKSZOŚCI POLACY zatrudnieni są w polskich przedsiębiorstwach realizujących tutaj inwestycje kontraktowe. Część z nich pracuje na podstawie umów zawartych pomiędzy naszymi przedsiębiorstwami zjednoczonymi (późniejszymi zrzeszeniami), a ich czechosłowackimi odpowiednikami. Nabór do pracy w CSRS prowadziły również — na podstawie umów pomiędzy ministerstwami — wydziały zatrudnienia niektórych urzędów wojewódzkich. Tego typu grupę spotykam w jednym z większych miast w pobliżu południowej granicy Słowacji. Mówi jej *veduci* (kierownik): — Jest nas 220 osób; to, przy prawie ośmiotysięcznym zatrudnieniu w przedsiębiorstwie, ilość niewielka. W grupie tej pracuje 60 kobiet. Mamy także 12 małżeństw.

Tych danych statystycznych, charakterystycznych grupę, jest znacznie więcej. Wynikają one z okresowych sprawozdań, kierowanych do ambasady w Pradze. Można też porównywać je z realiami.

— Zaraz, zaraz — dobiega zza którychś drzwi. — Właśnie zamierzam zacząć pranie.

— To skończ zamierzać.

Oprócz łazienki w baraku jest jeszcze kuchnia. Dyżurny będzie musiał zająć się również zmywaniem stosu naczyń.

W świetlicy telewizor i dziesięć wygodnych foteli wokół podłużnego stolika. Na ścianie rozpięte białoczerwone płótno. Czas wolny dzielą pomiędzy sen i oglądanie programu telewizyjnego. A oglądać jest rzeczywiście co: dwa programy miejscowe, dwa węgierskie, dwa austriackie i jeszcze — dzięki specjalnemu przekaznikowi — Moskwa. Telewizor nie jest praktycznie wyłączany.

Z łazienki dobiega warkot pralki, a z kuchni — smakowite zapachy.

— Kto ma ochotę coś zjeść?

— Makaron z gulaszem — krzy-
czą chórem.

Wprawdzie obiad w zakładowej stołówce kosztuje tylko 5 koron, ale oni wolną pitrasić sami. Tradycyjną — i najłatwiejszą do przygotowania — potrawą jest makaron różnego rodzaju sosami i gulaszami. Nieomal węgierska kuchnia sprawia, że posiłek trzeba miast popić. Najłatwiej Stąd rodzą się wszelkiego rodzaju choroby żołądka i okolic.

PRACUJĄ W SYSTEMIE probrygadowym, na trzy zmiany. Wszystko mają zaprogramowane na cały rok: co będą robili w noc sylwestrową, w Wigilię czy wezmą udział w manifestacji 1 Maja, jaka będzie — „pracują” czy też nie — najbliższa niedziela, kiedy będą spali po nocce, a kiedy wyskoczy 48 przerwy. Szesnastka to osiem godzin pracy przewidzianej harmonogramem i następne osiem — dodatkowej. Potem kilka godzin snu i kolejna szesnastka.

— Ile tak można? — zastanawia się Jano. — Dwa, maksimum trzy razy pod rząd, a potem goni się kilka dni osemki.

Ciulają te dni nadprogramowej pracy, bo dzięki nim mogą skorzystać z dodatkowego — poza urlopem — wolnego i wyskoczyć do rodziny. Kiedyś brało się wolne, a potem można było odrabiać. Najnowsze zarządzenie mówi, że naj-

ZENON NOWOPOLSKI

UBYTYOWNIA

Mieszkają w przyzakładowych hotelach robotniczych, standardem nie odbiegających od naszej przeciętnej krajowej: przez niewielki, ślepy przedpokój, w którym jest umywalka z zimną i ciepłą wodą, przechodzi się do dwuosobowego pokoju z lampkami na nocnych szafkach, dużą szafą na ubrania i bielizną, a także odbiornikiem radiowym.

Marzeniem kierownika grupy byłoby ściąganie wszystkich do jednego obiektu. Praktycznie jest to jednak niemożliwe. Nowicjuszy kwatruje się w wolnych pokojach. Opuszczane przez Polaków — zajmują pracownicy innych narodowości. Jedyną żelazną regułą, przestrzegana tutaj z całą konsekwencją, jest zasada umieszczania w jednym pokoju przedstawicieli tej samej narodowości.

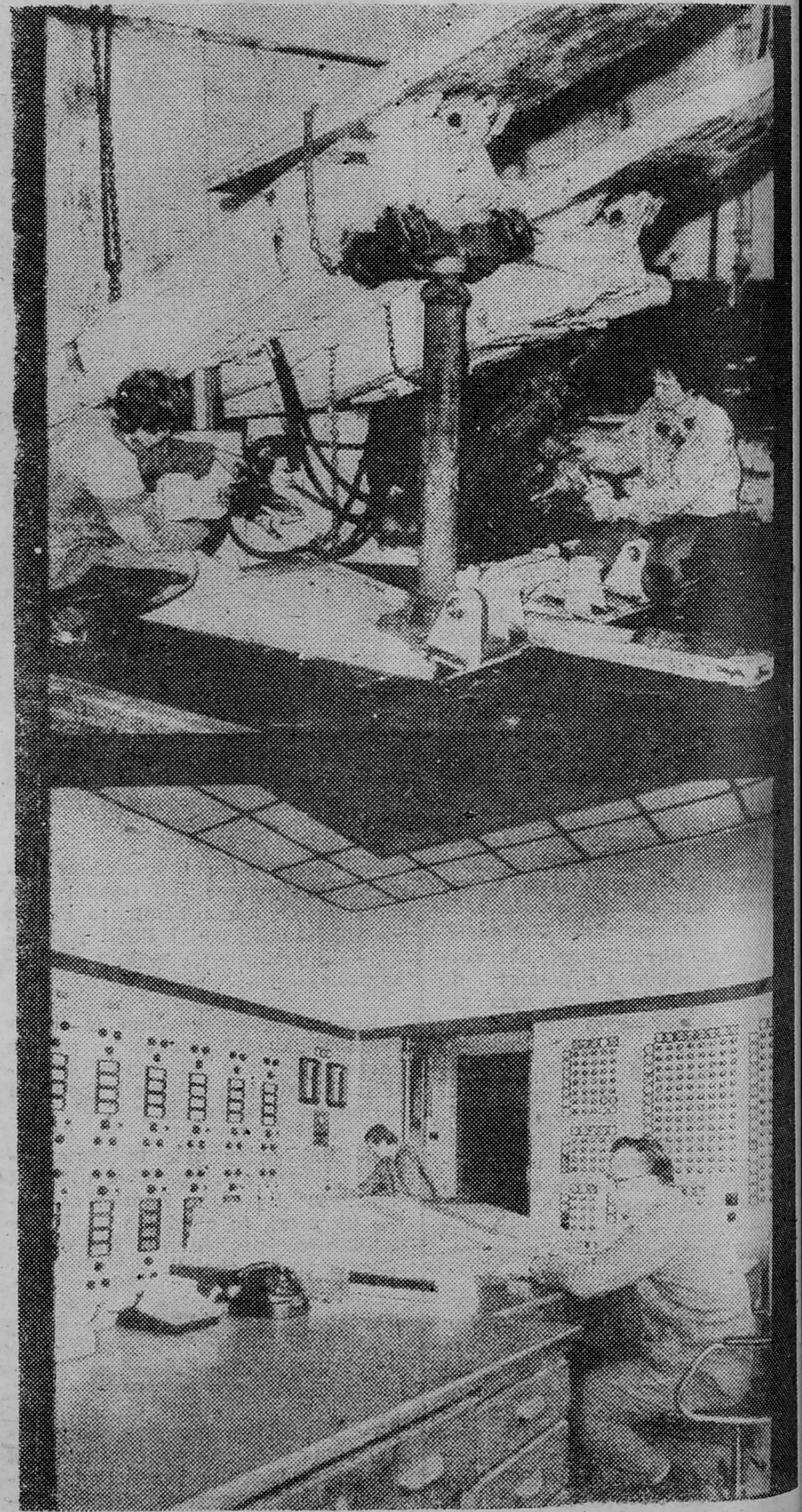
Janusz jest w polskiej grupie pracownikiem o najdłuższym stażu. Wyładował tutaj jeszcze przed ogłoszeniem stanu wojennego w Polsce, a o przyczynach wyjazdu opowie znacznie później, gdy pękna pierwsze lody. Jednocześnie zastrzeże pełne incognito. Jano — bo tak zwracają się do niego Słowacy, a za ich przykładem poszli Polacy — mieszka z dala od osiedla hoteli robotniczych, w samym centrum dużego ośrodka sportu i rekreacji z boiskami piłkarskimi, kortami tenisowymi, odkrytym basenem, płytami do koszykówki i siatkówki oraz kregielnią. Dla pracowników, którzy przed laty tworzyli ten ośrodek, pobudowano niewielki barak. Teraz mieszka w nim jedenastu Polaków. Warunki tu bardziej niż prowizoryczne, ale każda próba przeniesienia ich do hotelu kończy się fiaskiem. Wiele osób z hoteli stara się nawet o miejsce w baraku.

— To proste — tłumaczy Jano.

— Nie ma tutaj portierki, sprzątańców i całej otoczki biurokratycznej. Każdy dysponuje kluczem do baraku; wchodzi, kiedy chce, wychodzi. Tworzymy coś na kształt rodziny, bez kobiet jednakże.

W łazience, która jest zarazem pralnią, wisi kilkanaście sztuk brudnej bielizny, leży kilka mydeł, stoją butelki z szamponem i opakowania z proszkiem do prania, na wieszaku wiszą ręczniki.

— Kto dyżuruje? — Jano wychyla się z łazienki.



pierw odrobek, a później dodat-
kowy urlop.

— Nie robią tutaj kokosów — za-
pewnia kierownik i sięga do staty-
styki: — 24 osoby zarabiają do
2000 koron miesięcznie, 140 osób
ma średnio do 3000, a 56 wyciąga
powyżej 3000.

— Co znaczy powyżej 3000? —
śmieje się Jano i pokazuje kompu-
terowy wydruk ostatniego zarobku.
— Prawie 6500 koron!

— Ale policz, ile miałeś szesna-
stek — kontruje go Robert. — Do-
daj do tego rodzinne i premię za
staż pracy.

— Nie są to jednak sumy tak
małe, jak w sprawozdaniu — obja-
śnia Jano i sięga do notatek z o-
statniej narady w Ambasadzie, w
której uczestniczył z racji sekreta-
rzwania organizacji partyjnej ich
grupy. — W pierwszym kwartale
bieżącego roku wpłaciliśmy fisku-
sowi w Polsce prawie 290 000 koron
podatku.

— A boki? — śmieje się milczący
dotychczas Marian. — Zapomnia-
łeś, ile tysięcy zarobiłeś na po-
maranczach? — pyta Robert.

Opowiadają o tym niechętnie.
Nie chcą zdradzać sposobów i me-
tod dodatkowego zarobku. Jeżeli
już, są to przeważnie rzeczy roz-
pracowane przez celników, nie-
aktualne.

— Moglibyśmy zarabiać znacz-
nie więcej, ale pracujemy zbyt da-
leko od granicy z Polską — tłum-
aczy Marek. — Za rzadko by-
wamy w kraju. Wiele czasu mar-
nujemy na dojazd do miejsc za-
mieszkania, a tylko tam mogliby-
my zostawić towar i nie spieszyć
się z jego sprzedaniem. Przykła-
dowo: ja jadę do rodziny ponad 12
godzin.

— A ja, kupioną tutaj škodę, aż
24.

— Szukanie hurtowników w nad-
granicznych miejscowościach obni-
ża nasze zarobki o około 30—50
procent.

— Najlepiej wypadam, jeżeli za
koronę ułożoną w towar otrzy-
muję w kraju w granicach trzy-
dziestu złotych.

Języki rozwiążą się wieczorem,
gdy na stole w świetlicy pojawi się
kilka szklanych naczyń. Wszyscy za-
strzegają jednak, że wszelkie realia
nie mogą w żadnym wypadku
wskazywać na nich.

Marian przywozi z kraju plasty-
kowe torby na zakupy z obcoję-
zycznymi napisami. Tutaj sprzedaje
je po minimum 50 koron. Do kra-
ju wozi pastę do zębów, szampony,
mydelka, kremy i wiele innych ko-
smetyków, chociaż — jak twierdzi
— najlepszy okres na te towary już
minął.

Robert przeprowadza transakcje
wiązane. Z Polski przywozi okula-
ry przeciwsłoneczne w metalowych
oprawkach, najlepiej z małymi ser-
duszkami na szkle i napisami:
„France” lub „Italie”. Za trzy sztu-
ki dostaje zegarek elektroniczny,
który tutaj przywędrował z Au-
starii. Zegarki jednak coraz trud-
niej przewozić do Polski. Myśli więc
o czymś innym, tymczasem nie
chce jednak zapeszyć.

**WPERYFERYJNEJ RESTAU-
RACJI**, w pobliżu dużego za-
kładu przemysłowego, są
gośćmi dobrze znanymi. Już po
chwili do ich stolika dostawiane są
kolejne krzesła.

— Kolega z Polski — przedsta-
wiają.

— Co przywiozłeś? Masz okulary?
— padają pytania. — A krówki?

— Jakie krówki?

— Cukierki — szepcze Jano.

— Co potrzebujesz? — indaguje
mały, czarny Milian, wyglądający
na Węgra lub Cygana.

— Milian jest w stanie wszystko
załatwić i bierze tylko 10 procent
— mówią Polacy.

W restauracji trwa nieustanny
ruch. Na stolikach kieliszki z alko-
holem, trochę kufli z piwem. Jad-
łospis można odczytać z obrusa. W
tej sytuacji wyjście do toalety wy-
daje się przedsięwzięciem ryzykow-
nym. Tam jednak przyjemne roz-
czarowanie: wnętrze zaskakuje czy-
stością większą niż lokal.

— W najgorszej knajpie nie spot-
kasz brudnej toalety.

Podpita, brzydka jak noc dzie-
czyzna krąży pomiędzy stolikami.
zbiera puste kieliszki i kufle. Ktoś
stawia jej kolejkę.

— Zaspiewaj, Marika.

— Po słowacku, czesku, węgier-
sku, rumuńsku, rosyjsku, ukraińsku?
— dopytuje.

— Po polsku.

— Rudy, rudy, rudy rydz... —
śpiewa Marika, wykonując jakieś
nieskoordynowane przysiady i klasz-
cząc w dłonie.

OKWALIFIKACJACH zawo-
dowych mówią niechętnie. Po
długiej rozmowie dwóch o-
kazuje się elektronikami, a jeden
inżynierem-mechanikiem. — Tylko
9 osób ma wykształcenie średnie
ogólnokształcące — mówi kierow-
nik. — 58 osób legitymuje się wy-
kształceniem średnim zawodowym,
a aż 92 zasadniczym zawodowym;
33 osoby ukończyły wyłącznie pod-
stawówkę. W stosunku do kilku
mam podejrzenie, że ukryli swe
rzeczywiste wykształcenie, ale mogę
opierać się wyłącznie na dokumen-
tach.

— Znam chyba z dziesięciu u-
krywających swe wykształcenie.
Nie jest tu ono zresztą sprawą naj-
istotniejszą. Wszyscy pracujemy bo-
wiem fizycznie w trzydziestu wy-
działach przedsiębiorstwa — mówi
Jano. — Początkowo miałem pracę
znacznie lżejszą, ale skoro siedzę
tak daleko od domu, nie warto ro-
bić tego za grosze. Przeszedłem
więc do transportu. Spójrz na
mieśnię. Pierwszego dnia zostałem
tylko na chwilę sam w wagonie i
taśmociąg zasypał mnie 50-kilogra-

nowymi workami ze sztucznym
nawozem. Nie wiedziałem, jak go
wyłączyć. Plakałem ze złości.

— Wypijesz kielicha? — pytają
wracającego z drugiej zmiany
Wojtka.

— Chcecie, żebym świra dostał?
— protestuje tamten. Chemikalia,
przy których pracuje, stanowią, w
połączeniu z alkoholem, duże nie-
bezpieczeństwo dla zdrowia.

JAK MARYNARZE TESKNIĄ do
rodzin i kolegów. Są jednak w
nieco lepszej sytuacji, bo w każ-
dej chwili mogą zgłosić wyjazd i
za kilkanaście godzin być w domu.
To sprawia, że starają się mieć na
koncie jak najwięcej nadgodzin.

— Przychodzi taki moment, że
wystarczy jakiś niestosowny dow-
cip o przydupasach, jakaś scena w
telewizyjnym filmie, a już jesteś
spakowany i pędzisz na dworzec,
choć rozkład jazdy znasz na
pamięć i wiesz, że najbliższy pociąg
tylko częściowo przybliży cię do
domu, a później będziesz musiał
wiele godzin czekać na połączenie.

Robert wrócił kiedyś w środku
nocy. Po cichu przekręcił klucz w
zamku i wszedł do mieszkania.
Dwójka dzieci spała w swoich łó-
żeczkach. Na ich małżeńskim tap-
czanie dostrzegł dwie sylwetki. Roz-
poznał jasne włosy żony. Odrucho-
wo ucałił za gardło domniemanego
konkurenta. Rozległ się potworny
wrzask.

— Byłbym udusił tęściową, która
została u nas na nocleg.

Wojtek dojechał do domu rano.
Wszedł do pustego mieszkania i na
stole w pokoju dostrzegł karty
wstępu do najlepszego lokalu w
mieście. Wycofał się szybko. Cały

dzień spędził w samochodzie kilka
kilometrów za miastem. Wieczorem
dostał się — za sowitym napiw-
kiem — do lokalu i zastał żonę w
towarzystwie... dwóch zaprzyjaź-
nionych małżeństw.

— Spędziłem kilkanaście nerwo-
wych godzin i o ten sam czas skró-
ciłem swój pobyt w domu.

Opowiadają też o tych, którzy
mieli pecha i zastali w domu nie-
pożądanego gościa. Robert pokazuje
rzeczy swego byłego współmiesz-
kańca, spakowane od dwóch mie-
sięcy. Jego żona — jak się dowie-
dział — leży w szpitalu, a dawny
kolega stracił wolność. Mówią też o
tych, którym żony zrobiły niespo-
dziankę i zawitały w hotelu.

Niebezpieczne mogą być również
kontakty z tutejszymi dziewczyna-
mi. Jednego z kolegów znaleźli ran-
kiem wykrwawionego, z wbity w
podbrzusze butelką bez dna.

— Tak skończył się jego romans
z młodą Cyganką. Uratowały go
ciemności, gdyż chciano mu uszko-
dzić coś zupełnie innego — tłum-
aczy. — Natychmiast wywieziono
go do szpitala w drugi koniec Sło-
wacji. Po rekonwalescencji nawet
nie wrócił po rzeczy.

— Najwięcej problemów wyni-
ka z tego, iż są to w większości
jeszcze ludzie młodzi wiekiem i
małżeńskim stażem — mówi kie-
rownik grupy. — 44 osoby znajdu-
ją się w przedziale wiekowym 18—
24 lata, a tylko 11 osób ma powy-
żej 45. Od 25 do 45 lat ma aż 165
osób. Chcieliby jak najszybciej się
dorobić, a jednocześnie myślami są
w domu, przy młodej żonie i dzie-
ciach. Najmniej kłopotów spra-
wiają małżeństwa.

WRACAJĄ JUŻ ZA TYDZIEŃ,
góra — miesiąc! Mają tego
wszystkiego dość. Tak się mę-
czyć za byle grosze i z dala od
domu? — Nie wierz im — tłumaczy
Jano. — Tak mówią, gdy pójdzie
fama, że ktoś jest na wylocie. Ka-
dy zaczyna wynajdywać powody,
dla których wracać musi natych-
miast. Siedzi jednak do granic wy-
trzymałości.

— Chłopak ma już dwadzieścia
lat — mówi Marian. — Żona skar-
żyła się ostatnio, iż wymyka się jej
spod kontroli. Brak mu ojcowskiej
ręki.

— Ja byłem tylko urlopowany
z pracy — wyjaśnia Robert. —
Kierownik chce, abym wracał. Mam
tam całkiem niezłe stanowisko i
znośne zarobki. Może ktoś mnie
wygryźć.

— Zbyt daleko odszedłem od za-
wodu — odpowiada Jano. — Z wy-
kształcenia jestem poligrafem, a o-
statnio kilka lat przepracowałem ja-
ko redaktor techniczny w między-
zakładowym tygodniku. Teraz chcę
do spółki z kumplem, otworzyć za-
kład małej poligrafii.

— Obserwujemy stały spadek sta-
nu osobowego grup, które pracują
na podobnych do nas zasadach —
mówi kierownik. — Duży wpływ na
to miało tegoroczne zarządzenie o
płaceniu cła za samochody tutaj
kupowane.

— Nie ma wątpliwości, że moż-
liwość szybkiego kupna samochodu
była najistotniejszym bodźcem do
podjęcia pracy tutaj — mówi Ro-
bert.

— Škodę, wprawdzie przechodzo-
ną, kupiłem już po dziesięciu mie-
siącach — wyjaśnia Jano.

— Najnowsze zarządzenie w spra-
wie cła ma niewątpliwie wpływ na
zmniejszenie zainteresowania za-
trudnieniem. Nie bez wpływu jest
jednak również normalizująca się
sytuacja w kraju.

— „Ubytovna” — Jano wskazuje
szyld na ścianie baraku i wyjaś-
nia, iż nazwa ta jest odpowiedni-
kiem naszego hotelu robotniczego.

— My przetłumaczyliśmy to jednak
na „przeżywalnię”, bo trzeba mo-
no zamknąć się w sobie i przeżyć
możliwie bez komplikacji osobie-
tych i rodzinnych pobyt tutaj. Nie
każdemu jednak udaje się to bez
wstrząsów.



Przepisy zezwalają na ograniczenie lub pozbawianie prawa własności, jeśli wymaga tego interes społeczny. Ale bywa tak, że na skutek ich stosowania właściciel nie tylko jest ograniczany w swoich prawach, ale na dodatek traci możliwość normalnego życia. Jak mieszkać w domu z pękającymi ścianami, skąd brać wodę, jeśli wyschła studnia?

Dom przy ulicy Świerczewskiego 135 w Łomży ma siedemdziesiąt lat. Mimo że zbudowany z tej samej cegły co sąsiednie budynki, w porównaniu z nimi jest w gorszym stanie. — Dom nie ma fundamentów ani izolacji od podłoża — stwierdza jeden z właścicieli — ale systematycznie remontowany, dawał wygodne mieszkanie dla ośmiu rodzin. Przyspieszenie jego dewastacji nastąpiło w latach osiemdziesiątych, kiedy obok domu postanowiono poprowadzić kilka rurociągów.

Zaczęło się od kanału, który odprowadza wody deszczowe z osiedla Południe III. Zarząd Gospodarki Terenami przy prezydencie Łomży wydał 18 maja 1982 r. decyzję zezwalającą inwestorowi na czasowe zajęcie nieruchomości położonej przy ulicy Świerczewskiego 135. Inwestor — na mocy decyzji — uzyskał prawa, ale i obowiązki: „[...] odszkodowanie za straty w zasiewach i uprawach powinno być ustalone i wpłacone w ciągu 30 dni

nie pobrałem. To suma niewspółmiernie mała w porównaniu do strat, jakie ponieśliśmy chociażby w przypadku studni, które wyschły po osuszeniu gruntu wokół wykopów. Po wodę musimy chodzić do hydrantu po drugiej stronie ulicy Świerczewskiego. Chcieliśmy na własny koszt podłączyć się do starego wodociągu, lecz inspektorzy WDI nie wyrazili zgody.

Przysłali za to pismo z pretensjami: „Mieszkańcy budynku utrudniają realizację sieci wodociągowej [...] dla potrzeb osiedla, opóźnia to uporządkowanie dojazdu do budynku oraz doprowadzenie wody ze zdroju w ul. Świerczewskiego, gdyż po wykonaniu wodociągu w ulicy Przykaszarowej mieszkańcy budynku mogliby z niego korzystać”.

Obietnica udostępnienia nam nowego wodociągu do dzisiaj nie została spełniona. Za to WDI przymierza się do kolejnej inwestycji; tym razem będzie to kanał ciepłowniczy. Jak wynika z planów, rury będą przebiegały pod budynkiem — informują lokatorzy.

Humor jednak nie opuszcza mieszkańców domu: — Niech ułożą rury i puszcza ciepłą wodę, to wywiercę otwór i będę miał ciepło, bo rury będą przebiegały przez środek kuchni — mówi jeden z nich. — Póki co czekamy w niepewności. Podobno wszystko zależy od tego, czy WDI otrzyma pieniądze na tę inwestycję.

URZĘDOWY BAJER

od powstania szkód związanych z budową kanału deszczowego [...] inwestor i wykonawca powinni dążyć wszelkimi staraniami, aby zniszczenia w istniejącej zabudowie i drzewostanie ograniczyć do minimum oraz aby uciążliwość zajęcia nieruchomości była jak najmniejsza. Należy również dążyć do zachowania zdjętej warstwy ziemi, która po zakończeniu budowy winna być roplantowana na miejscu przekopu”.

— W praktyce wykonanie tej decyzji wyglądało tak, że rozebrali przybudówkę i rodzina, która tam mieszkała, przeniosła się do bloku — informuje właściciel. — Inwestor nie wykonał żadnego z poleceń, które nałożono na niego w decyzji. Przez 3 lata wykop nie był zasypywany. Nie wspomnę już o rozplantowaniu ziemi i zniszczonym ogródku. Niedługo po tym zaczęli kopać drugi kanał, tym razem sanitarny. Nie otrzymaliśmy nawet odpisu decyzji zezwalającej inwestorowi na jego budowę. Obok domu jeździli koparki, spychacze; w domu zaczęły pękać ściany. W wykopie przy budynku gromadziła się woda spływająca z pól, stąd wilgoć w mieszkaniu na parterze. Zapadanie się ścian widać najlepiej na piętrze. Aby wyrównać poziom podłóg, pod meble podkładaliśmy deski. Niewiele to pomaga, kiedy pękają belki stropowe w suficie. Zaniepokojeni stanem budynku wysłaliśmy podanie do prezydenta Łomży z prośbą o przysłanie komisji, która stwierdziłaby, czy nie grozi on zawaleniem. Ale nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Wobec tego z taką samą prośbą zwróciliśmy się do inwestora, czyli Wojewódzkiej Dyrekcji Inwestycji. Przysłali komisję, która przyznała, że stan budynku jest zły, ale to skutek upływu lat, a nie prowadzonych inwestycji. Okazało się, że to nie koniec naszych cierpień. WDI rozpoczęło przygotowania do kopania kolejnego kanału, tym razem pod budowę wodociągu.

26 sierpnia 1985 roku Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami wydał decyzję zezwalającą na czasowe zajęcie działki. Właściciele budynku złożyli odwołanie do Urzędu Miasta. „Odwołanie motywuję tym, że stan budynku po ostatnio prowadzonych robotach ziemnych uległ dalszemu pogorszeniu. Po wykopach teren nie został uporządkowany, co powoduje, że po opadach dojdzie lub dojdzie jest niemożliwy. Dotychczas nie zostało też wypłacone odszkodowanie. Zgody na zajęcie działki nie wyrażamy”.

— Nasze odwołanie nie wywołało żadnego skutku — tłumaczy jeden z właścicieli. — Wypłacono nam jedynie odszkodowanie. Rzeczoznawca ds. wywłaszczeń z Urzędu Wojewódzkiego oszacował nasze dotychczasowe straty na niecałe 20 000 złotych. Do dzisiaj tych pieniędzy

Ryszard Gugnacki, inspektor nadzoru w WDI: — Współczuję lokatorom domu, ale niewiele mogą pomóc. Musimy doprowadzić do nowego osiedla urządzenia infrastruktury technicznej. Jeśli zapadnie decyzja budowy kanału ciepłowniczego, lokatorzy zostaną przeniesieni do innych pomieszczeń.

Przez 5 lat mieszkańców budynku przy ulicy Świerczewskiego 135 nekano różnymi decyzjami, których konsekwencją było pogorszenie warunków do życia. Z łaski ułożono kilka płyt betonowych, które miały ułatwić przejście z ulicy do domu przez rozkopane bajory błota, ale robota została wykonana — tak niechlujnie, że po deszczu woda zakrywa płyty. Teraz z kolei mają obiecany przydział mieszkań, jeśli zacznie się budowa ciepłociągu.

— W przydział tych mieszkań nie wierzę — mówi właściciel domu. — Przecież niedawno próbowali namówić nas na sprzedaż pasa ziemi przed domem. Nie zgodziliśmy się na to, gdyż wykopanie rowu przy samej ścianie spowodowałoby jej zawalenie.

Drugim przykładem niefrasobliwości urzędniczych decyzji jest sytuacja lokatorów domu przy ulicy Buczka 6 w Łomży. W budynku rozpoczęto przeprowadzanie remontu gruntownego bez wykwaterowywania lokatorów. W trakcie rozbioru zerwała się podłoga na piętrze.

— Na szczęście nie się nie stało, choć na parterze byli ludzie, ale jak mam w takich warunkach mieszkać z dwójką małych dzieci? — pyta lokatorka.

— Architekt sprawdzał stan budynku — informuje Barbara Moniak, kierowniczka Wydziału Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Urzędzie Miasta. — Uznał, że prowadzenie remontu nie zagraża życiu lokatorów.

— Remont prowadzony jest bez naszej zgody — twierdzą pracownicy Wydziału Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego w Urzędzie Miasta. — Dopiero teraz przygotowywana jest decyzja zezwalająca na remont. Najprawdopodobniej lokatorzy będą musieli opuścić jedno pomieszczenie, nad którym remontowany jest sufit, a le zdajemy sobie sprawę, że decyzja ta nie ucieszy ich. Jak żyć z dziećmi przy ciągłym przechodzeniu majstrów przez mieszkanie, w przeciagach, hałasie?

Przy podejmowaniu tych decyzji kierowano się zasadą wyboru mniejszego zła. Gdyby nie budowano wodociągów i kanalizacji, ludzie nie mogliby zamieszkać w blokach. Jeśli nie rozpoczęto by remontu, dom zawaliłby się. Tyle tylko że ci, których kosztem decyzje te są wykonywane, sami muszą borykać się z ich skutkami.

WIESŁAW KOŁOWSKI

Formalności nie trwały długo. Po pięciu minutach karta była wypisana, ale pracownik nie spieszył się z oddaniem paszportu: — Dziwna ta wiza... Jakaś rozmazana.

— Taką przystawili w Ambasadzie — Apoloniusz Zaczek wyszedł z zakłopotaniem ramionami. — Może słabo odcisnęli?

Mężczyzna przewracał niespiesznie kartki paszportu: — Nie podobają mi się też ten wpis czarnym flamastrem. — Ociągał się jeszcze przez chwilę, ale wreszcie oddał dokument.

Apoloniusz Zaczek z trudem wydobywał z pamięci rysunek widzianej kilka lat temu w paszporcie teścia. Chyba była identyczna. Ale ziarno niepokoju, zasiane przez pracownika Wydziału Paszportów, kiełkowało: — Jednak zajdę do Kowalskiego — zdecydował.

RYBNY PARAWAN

Ryszard Kowalski wrócił ze Stanów Zjednoczonych w końcu 1979 roku. Bawił na obczyźnie niecały rok; dalszy pobyt uniemożliwiła mu choroba. Na początku 1980 r. wziął w agencję sklep rybny przy ul. Wojska Polskiego w Grajewie. Nie narzekał na brak klientów, chociaż nie wszyscy przychodzili po to, by kupić ryby. Niektórzy mieli jakieś sprawy do omówienia na osobności. Wkrótce w Grajewie głośno było o cichych interesach na tyłach sklepu: za 50 500 złotych Kowalski w ciągu kilku dni załatwił wizy amerykańskie. Ma „pewne wejście” w Ambasadzie. Cyfrowano przy okazji nazwiska tych, którzy dzięki agentowi napychają już sobie portfele dolarami.

Marian Obara dowiedział się o Kowalskim w szpitalu, od salowej. Poszedł pod wskazany przez nią adres, zapytał wprost. Kowalski nie ukrywał, że „ma możliwości”; od razu podał cenę i termin. Dorzucił też, że dobrze byłoby, gdyby ten „wynalazł” jeszcze parę osób, którym odmówiono wizy, bo dla niego jednego nie opłaca mu się załatwiać. Obara rozejrzał się wśród znajomych. Kilka dni później mieli już nie tylko wizy, ale i wykupione w „Orbisie” bilety na przelot. Pakowali walizki.

Stanisław Roźniak o agencji sklepu rybnego usłyszał na przystanku PKS-u. Wprawdzie nie zamierzał wyjeżdżać za wielką wodę, ale zapamiętał adres. Przydał się wkrótce. Goszcząc w Kurkach, swej rodzinnej wsi, dowiedział się, że jego dobremu koledze, Polkowi Zaczekowi, po raz trzeci odmówiono wizy. Podzielił się z nim pomysłem nową, przekonał, by spróbował. Zaczek dał mu swój paszport i 400 dolarów. Nim Roźniak pojechał do Kowalskiego, odwiedził jeszcze jednego znajomego. Wspólnie doszli do wniosku, że na interesie Kowalskiego oni też mogą zarobić. Wartość swoich „usług” wycenili na 50 000 złotych. Kowalski i tak przecież dostanie swoje, a szczególnie posiadacz wizy nie będzie dociekał, czy 100 000 to uczciwa cena za wyjazd do Stanów. Ostatecznie więc Roźniak zjawił się u Kowalskiego z czterema paszportami, a niewykluczone, że także z obietnicą dostarczenia kolejnych. Zaczek swój paszport odebrał trzy dni później, po czym udał się do Elku, by w „Orbisie” kupić bilet lotniczy.

Do Warszawy Apoloniusz Zaczek jechał uspokojony. Kowalski nie przejął się w ogóle jego podejrzeniami: — Wiza jest prawdziwa — zapewniał — nie ma się czego obawiać.

W biurze „PAN-AM-u” urzędnik znowu długo przeglądał paszport, potem dzwonił do Ambasady (Zaczek nie rozumiał angielszczyzny), następnie wręczył mu kartkę z nazwiskiem pracownika Ambasady, do którego powinien się zgłosić „w celu dokonania poprawek w paszporcie”. Za nazwiskiem kryła się kobieta, która przedstawiła mu się jako konsul. Zapytała, gdzie i w jaki sposób załatwił wizę.

— W Ambasadzie — odpowiedział stanowczo.

— A czy wie pan o tym — zapytała — że konsula, którego nazwisko widnieje na pieczęci w pańskim paszporcie, nie ma w Polsce już od czterech lat, a kolory istotnie różnią się od barw na oryginalnych stemplach wizowych?

Wiadomość o zatrzymaniu Zaczki rozeszła się w Grajewie i okolicy błyskawicznie. W sklepie rybnym znów pojawili się ci sami klienci, którzy niedawno konferowali w cztery oczy z agentem. Kowalski uspokajał, zapewniał, że jeden incydent nie świadczy jeszcze o niczym, a jego wizy są autentyczne. Kilka osób zaryzykowało podróż z

niepewnym paszportem. Zakończył ją na lotnisku Okęcie. Kiedy arestowany został Roźniak, Kowalski postanowił ubezpieczyć się; przedził pozostałych, co powinni zeznać w przypadku wezwania na milicję. A więc: wizę załatwił mężczyzna przypadkowo poznany w Ambasadzie USA. Wiek — ponad 40 lat, włosy ciemne, kędzierzawe siwe bokobrody, dość pełna tuzja elegancko ubrany. Nie wymawiał liter „r”. Poruszał się po Ambasadzie bardzo swobodnie, jakby był tam urzędnikiem. Wiza kosztowała 500, a uprzejmość — 50 000 złotych albo... nic, jeżeli obiecali podesłać mu kilku klientów gotowych do płacenia gotówką.

W pierwszych zeznaniach wersję tę podali niemal wszyscy, potem jednak wycofali się i wskazali na Kowalskiego. Ten starał się uwie-



rygodnić historię własnym przykładem: anonimowego urzędnika spotkał w 1979 r. Za gratisową pomoc w załatwieniu wizy zgodził się na rącenie mu klientów. Tej tajemnicy ktoś bezbłędnie wyczuł datę jego przyspieszonego powrotu ze Stanów, nawiązał z nim kontakt telefoniczny, przypomniał o umowie.

— Nie jestem bez winy — tłumaczył się Ryszard Kowalski przed Sądem — ale też nie tak winny, jakby mi chcieli udowodnić. Byłem tylko pośrednikiem. Faktycznie wszystko załatwił pan Mietek.

Zjawił się w Grajewie w tygodniu po telefonicznej rozmowie. Traf chciał, że akurat w tym czasie przyjechali do Kowalskiego dwaj mężczyźni spod Białegostoku, którzy wiedzieli, że on może im załatwić wizy. W umówiony dzień czekali we trójkę na pana Mietka. Przybył swoim volvo. Transakcja odbyła się w samochodzie. Nieznajomemu zapłacili i odjechali. Pozostali anonimowi do końca.

Wszystkie spotkania inicjował pan Mietek. Dzwonił zawsze w czwartki i piątki. Całą wiosnę dopytywał się o następnych klientów. W czerwcu, lipcu i sierpniu Kowalski jeździł do Warszawy. Spotykali się w restauracji na Dworcu Centralnym. Pan Mietek zwracał za każdy przejazd 2000 złotych, ale w interesie nadal panował spokój. Nieoczekiwanie przełomowy okazał się październik; zgłosiło się do Kowalskiego 9 osób. Pan Mietek osobiście przyjeżdżał po odbiór paszportów, a po kilku dniach zwracał je Kowalskiemu z wizami. Był wyjątkowo ostrożny. Nie prowadził z Kowalskim żadnej korespondencji.





Najważniejszym problemem polskich pszczelarzy, obok warrozy, jest brak zbytu na miód: zagranicą w obokupnych stołkach kupić go nie chce, Polacy natomiast potrzebują spożywania „boskiego nektaru” na co dzień ponoć w sobie nie wyrobili. Z tego powodu, w magazynach zalega 5-6 tysięcy ton miodu, z którym nie bardzo wiadomo, co począć. Tymczasem w tomyńskich sklepach pojawia się jak „specjalny deficyt”, czyli od przypadku do przypadku. Musi co wlać w ten interes jaki truteń.

★

W ubiegłym roku, z powodu totalnego brudu, w mleczarni w Kolnie trzeba było przeznaczyć na paszę 16 ton serów złotych, a 287 ton goudy i podlaskiego przetopić. W tym roku kontrola ujawniła już marnotrawstwo 60 ton sera, który przeznaczyć można jedynie na paszę. Dlaczego? „Przewody doprowadzające mleko do pasteryzatora na złączach pokryte zjeżdżającym białkiem, wanny serowarskie, mieszadła, prowadnice mieszadeł pokryte rozkładającym się tłuszczem i białkiem. Z prowadnic do wanien wyciekła olej smarowniczy”. W 1984 r. Spółdzielnia pobrała bezpodstawnie 20 mln 493 tys. 11 złotych dotacji. W okresie trzech kwartałów 1985 roku za wypuszczone na rynek wyroby nie odpowiadające polskiej normie zagarnięta 4 mln 690 tys. 800 złotych. Pierwsze zdanie prezesa mleczarni o powyższych faktach: „Nie wiem, skąd w naszej mleczarni takie problemy?” Może by tak, panie prokuratorze, dać czas panu prezesowi na przemyślenie?

★

Na opiekę delegacji potwierdzającej pobyt w szpitalu w Ciechanowcu potrzebna jest zgoda samego dyrektora. Na tle tej niezwykłej troski i osobistej zaangażowania martwi nas postawa nowego ministra zdrowia, który zamierza tak precyzyjne operacje, jak lewatywa, przekazać w kompetencje dyrektorów klinik.

★

Oczekujące na autobus dzieci w Kobylinie Borzymach w jednym naprawdę aktywnym kółku zajęć pozalekcyjnych uczą się codziennie karate po polsku, anatomii, fizjologii, łaciny, a niektórzy twierdzą, że życia. Bezpłatnej nauki metodą oglądową udziela pobliski bar i jego bywalec. Gdyby tak właściciel bardziej jeszcze przejął się przysięgą firmy, zaszerwowałby przeciwnikom od czasu do czasu przynajmniej małe z pianką. Wiadomo przecież: czym skorupka za młodu nasiąknie...

★

Nadleśnictwo Nowogród wycięło, zgodnie z planem, około 4 tys. metrów sześciennych drewna, którego nie ma komu z lasu wywieźć. Fachowcy twierdzą, że nie okorowane drewno, choćby było najwyższej klasy, przeciętnie po dwóch miesiącach szlag, czyli pasaż, trafia na tyle, że ładuje w klasie czwartej. Inni dodają, że z dobrego drewna można robić dobre meble na eksport. Cena węgla na światowych rynkach spadła już do 38 dolarów za tonę. Powyższe fakty nie powinny jednak rodzić w kibicach nadziei: działacze zapewniają, że z ligi trzecioświatowej wykopać się nie damy.



dzie odmownie. Miejsca w hotelu nie było, Bystrzycki zaprosił kolegów do znajomego pułkownika rezerwy. Na zapoznanie kupili baterię alkoholu. Libacja trwała dwa dni i dwie noce. Pili, zagryzali węgierzami (Góra, Korda i Sroka wzięli wreszcie, gdzie trafili). Góra zwierzył się pułkownikowi ze swego kłopotu; ten zadzwonił do Ambasady. „Młodych nie puszczają — referował po chwili. — Chyba że będzie jakiś mocny argument: śmierć lub ciężka choroba kogoś z rodziny”. Sroka miał brata w Stanach. Powiadomił go telegraficznie, żeby pisał do Polski, że umiera.

Góra i Korda byli w gorszej sytuacji. Ale Bystrzycki miał w rekawie jeszcze jednego asa — aktora L. Był już u niego poprzedniego dnia z koniakiem i węgierzami. Teraz pojechał do teatru z Górami. Ale za kulisy poszedł sam. Po chwili wrócił z pocieszającym: „Da się załatwić”.

U gościnnego pułkownika wyciągnęli nowe butelki. Przed północą alkohol zmienił jednak nastroje. Bystrzycki spoliczkował pułkownika, a ten — zdenerwowany — siłą usunął gości z mieszkania. Jedynie Góra pozostał.

Korda i Sroka nie doczekali się wizy. Być może przeszkodziło im aresztowanie Bystrzyckiego. Góra, jego koleży i pułkownik zostali powołani na świadków w jego sprawie. Na wezwanie do sądu Marian Góra odpowiedział: „Spóźniłem się, bo jestem w podróży służbowej”. Wkrótce lądował po drugiej stronie oceanu.

Na rozprawie sądowej okazało się, że Zenon Bystrzycki wynalazł zupełnie oryginalną metodę. Wystarczyło mu parę danych o osobie ubiegającej się o wyjazd, adres osoby zapraszającej i moment inspiracji twórczej. Siadał nad elegancką kartką i pisał np.: „Przez 3 kolejne lata bezskutecznie zapraszam swoją szwagierkę na krótki pobyt. Jest ona 65-letnią emerytowaną inwalidką niezdolną do żadnej pracy. Konsulat nie daje jej wiary, że terminowo wróci do Polski, gdzie posiada gospodarstwo rolne o powierzchni 30 ha, całkowity sprzęt rolny, traktor, 2 samochody, hodowlę krów mlecznych, nowoczesny dom i zabudowania gospodarcze o łącznej wartości 60 mln zł [...] Nadmieniam, że jestem starym i zasłużonym obywatelem USA. Byłem ciężko ranny podczas wojny z Japonią...” Cóż z tego, że faktycznie gospodarstwo liczy 15 ha, brakuje w nim tej czy owej maszyny, budynki są już nieco nadwątlone przez zab czasu, a mister Alex Wiśniewski nigdy nie miał na pieńku z żadnym Japończykiem? Ważne było to, by po otrzymaniu listu podpisał go własnym nazwiskiem, a na kopercie wykaligrafiował adres biura prezydenta. „Amerykanie nie sprawdzają danych o osobach piszących” — twierdził Bystrzycki i (przynajmniej w kilku przypadkach) musiał mieć rację, skoro jego klienci otrzymywali wezwania do konsulatu USA, a tam — wizy.

Cytowanego listu nie zdążył jednak już wysłać. W brudnopisie pozostał też następny, adresowany do prezydenta Reagana przez obywatela Stanów Zjednoczonych, Petera Drabika: „Brat mój jest plantatorem czarnej porzeczki, przeto może mnie odwiedzić wyłącznie w okresie zimowym. Od wielu lat nie widziałem się z bratem i dlatego gorąco pragnę pokazać mu plantacje farmerów USA. Jestem chory i nie mogę złożyć wizyty w Polsce. Byłem uczestnikiem wojny wietnamskiej i zostałem ciężko ranny. Jako weteran wojenny ośmielam się prosić Pana Prezydenta...”

Zenon Bystrzycki niczego o Peterze Drabiku nie wiedział, a o jego kuzynie, Sroce, tylko tyle, że posadził za chalupą kilkadziesiąt krzaków czarnej porzeczki, ale starał się napisać pięknie i wiarygodnie. Wiadomo przecież, że załatwił Sroce już wiele miesięcy wcześniej. 2200 dolarów wprawdzie oddał, ale myśl, że mógłby je odzyskać, kusila go bardzo. A poza tym chciał się zrehabilitować.

Wszystkie imiona i nazwiska zostały zmienione.

dzieli się w Ambasadzie — za pośrednictwem opłaconego tłumacza — że nie otrzymają upragnionych wiz. Zrozumieli, że zostali okpieni. Po powrocie do kraju odszukał Oleckiego. „Zostałem oszukany — przysięgał nagabywany — ale zaraz jadę do Warszawy i przywożę wizy USA”. Wrócił po kilku dniach bez wiz. Zaproponował, by pojechali z nim do Łomży, gdzie od znajomych pożyczą potrzebną do oddania sumę. Nie pożyczyl, więc pojechali dalej — do Warszawy. Zatrzymali się pod jakimś wieżowcem, Olecki poszedł na górę. Po 10 minutach przyniósł 1000 dolarów. Domagali się reszty, ale przekonali ich, że tym razem załatwił wizy na pewno; oczywiście, pod warunkiem, że dopłacą po kilkaset dolarów. Dopłacili. Czekali tydzień, potem zaczęli go szukać. Bez skutku. Wreszcie zagrozili jego rodzicom, że jeżeli nie skontaktuje się z nimi, pójdą na milicję. Przyjechał niebieskim volvo. Wracać musiał już pieszo. Odebrali mu kluczyki i dowód rejestracyjny, a samochód wstawili do garażu Gila jako zastaw. Dopiero po jakimś czasie zorientowali się, że przepadła szaszetka Koryckiego, w której znajdowały się ich paszporty. Oleckiego w Zaborowie już nie było. Zawiadomili milicję.

W tym czasie, kiedy po Polsce krążył list gończy z podobizną Oleckiego, ten zajęty był finalizowaniem kolejnej sprawy. Jeszcze wiosną 1985 r. wziął od pewnej kobiety z Łomży 1500 dolarów na załatwienie wizy. Niestety, pani Maria, kobieta już 70-letnia, zachorowała. Zupełnie nieoczekiwanie, podobnie jak Kowalskiemu, z pomocą pospieszył tajemniczy nieznajomy.

— To było chyba w czerwcu — przypomina sobie Olecki — Na Służewcu podszedł do mnie mężczyzna w średnim wieku, przedstawił się jako pułkownik Służby Bezpieczeństwa. Oświadczył, że ma mi pomóc w zdobyciu wizy. Obiecałem, że za trzy dni dostarczę paszport i 1500 dolarów. Tak też się stało. Ponieważ pułkownik wyjechał na pewien czas z Warszawy, umówiliśmy się na kolejne spotkanie 30 lipca lub, awaryjnie, 15 sierpnia. Wcześniej jednak zostałem aresztowany.

Tajemniczy „pułkownik” — jak łatwo się domyślić — nigdy się nie zmaterializował.

ATUTY I ASY

Zenon Bystrzycki zaczął się specjalizować „w wizach”, gdy Amerykanie utrudnili sprawę przez dokumentowanie odmowy stosownym stemplem w paszporcie. Początkowo Bystrzycki szukał sposobów wywabienia stempla, lecz ze skutkiem dość mizernym. Lepiej było wyprać w pralce cały paszport i próbować szansy z nowym, niepokalanym odmową. Jednak najpewniejszą metodą wydawało się tradycyjne „szukanie wejść”, co dla Zenona Bystrzyckiego, człowieka ustosunkowanego i obytego, nie powinno być trudne. Tak sądził on sam i jego klienci. Mariana Górę poznał przez znajomego. Góra prosił o załatwienie wiz USA dla siebie i znajomych — Stanisława Sroki i Marka Kordy. Bystrzycki przyjął zlecenie na wizy: „Będę jednak musiał uruchomić dodatkową znajomość — wyjaśnił. — To konsul austriacki. Ma na imię Gienek, a jego rodzina mieszka w Kownatach pod Jedwabnem. Już mi pomógł. Kobieta, której załatwił wizę, zawiozła mu za to koldre, pierzynę i spirytus. My też nie możemy jechać do niego z pustymi rękami!”

Pojechali do Giżycka, gdzie Bystrzycki kupił na rachunek szpitala w Łomży 20 kilogramów węgierza, a następnego dnia udali się do Warszawy. Góra zajął kolejkę w Ambasadzie USA, potem zawiadził Bystrzyckiego pod Ambasadą Austrii. Korda i Sroka czekali w barze. Góra stracił kolejkę, a wszyscy — czas, gdyż ok. 17.00 Bystrzycki wrócił z informacją, że dziś nie z tego nie będzie. Pojechali do Łomży, uwiedzili węgierza. Kilka dni później Góra znów stanął w kolejce po wizę, a Bystrzycki pojechał gdzieś z walizką węgierzy. „Wiem już, komu dać pieniądze!” Wrócił bez walizki, zadowolony: Humoru nie popsuł mu nawet Góra, którego załatwiono w Ambasa-

Tylko raz, tuż przed aresztowaniem agenta, wysłał do niego dwa telegramy o podobnej treści: „Panie Ryszardzie, co u pana słychać? Słyszałem od ludzi, że coś jest w Gajewie nie w porządku. Powiadom mnie pana przez kolegę lub sam przyjadę, tylko bez kawałów. Pan Mietek”. Nie powiadomił i nie przyjechał.

Ekspertyza Zakładu Kryminalistyki sugerowała, że fałszerz wizy posługiwał się „specjalnie przygotowaną, najprawdopodobniej metalową formą z ogólnym konturem stempla”. Kowalski przyznał się, że pan Mietek „załatwiał” same odciski pieczęci, a jemu za wpis płacił 5000 złotych. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego musiał to robić on, ale kategorycznie sprzeciwiał się sugestiom, że osłania pana Mietka lub w ogóle wymyśla jego istnienie. Utrzymywał, że został kozłem ofiarnym warszawskiego cwaniaka. Przyjęta linia obrony okazała się dość skuteczna. Kowalski został skazany na 2,5 roku pozbawienia wolności; amnestia zmniejszyła tę karę o połowę.

ALE MEKSYK

Janusz Olecki jest typem obywatela. Szybko znudziło mu się siedzenie w podgrajewskiej wsi. W 1969 „urwał się” do hufców w Olsztynie, potem przez rok pracował w kopalni „Wujek”, a przez następ-



nych 5 lat — w prywatnym warsztacie samochodowym w Szczecinie. Od 1976 krążył między Zaborowem a Piasecznem, Radością, Warszawą. To pomagał rodzicom, to znów trudnił się blacharką samochodową lub pracował jako kierowca-mechanik. Zdążył „zaliczyć” odsiadkę za pobicie nie znanego mu mężczyzny. Od 1984 był w Zaborowie częściej; nie tylko z sentymentu do rodzinnych stron. Tutaj łatwiej mógł wyłowić tych, którzy starali się o wyjazd do Stanów, ale nie otrzymali wizy. A on mógł im to załatwić za „uczciwą” cenę: 1500-2000 dolarów. Mógł, bo miał kogoś w Warszawie.

— Marię Konarzewską — powie później przed Sądem — poznałem w przetwórnicy owocowo-warzywnej w Radości, gdzie pracowałem jako kierowca. Powiedziała, że ma możliwość załatwienia wiz USA. Prosiła, bym przywoził jej paszporty i dolary. Przez cały 1984 roku nie znalazłem ani jednego chętnego, dopiero na początku 1985, w przypadkowej rozmowie, usłyszałem o kłopotach Andrzeja Gila, znajomego z Zeber, wsi położonej niedaleko Zaborowa. Po kilku dniach spotkałem się z nim i jego kolegą, Mariuszem Koryckim. Dali mi paszporty i po 1500 dolarów. Pani Maria załatwiła za to wizy meksykańskie i bilety. Zapewniła mnie, że na miejscu odbierze Gila i Koryckiego kobietę, która w tamtejszej Ambasadzie USA zdobędzie im wizy amerykańskie.

Andrzej Gil i Mariusz Korycki polecili do Meksyku. Stracili kilkaset dolarów na hotel, czas na poszukiwania rzekomej opiekunki i mnóstwo nerwów. W końcu dowie-

Człowiek lubi konkrety. I pewność. Kiedy jest pewien, że zagwarantował sobie pewną liczbę konkretów, dopiero wówczas wypuszcza się na rzeczy i sprawy nie do końca określone, a nawet całkiem niepewne. Przejawia się w tym „zasada zachowania jednostki” w procesie uspołeczniania. Ten indywidualny egoizm jest więc nie tylko gwarancją istnienia jednostki ludzkiej, ale także określa warunki tworzenia się społeczności, a w końcu jej jakość.

Społeczeństwo jednak (a tym bardziej naród) nie jest prostą sumą egoizmów indywidualnych, gdyż w takim przypadku wymagałoby do swego istnienia „zwierzchnika” bądź w postaci Boga, bądź instynktu zaprogramowanego tak, jak ma to miejsce u zwierząt. Nie oznacza to jednak, aby ludzkie społeczeństwa nie odczuwały potrzeby jednego, jak i drugiego. I to w bardzo różnicowanej skali. Przy czym nie sądzę, aby pragnienia owe dały się łatwo wytłumaczyć jedynie „jaskiniowym lękiem” pracownika lub tęsknotą do ostatecznego, raz na zawsze, uporządkowania sfery ludzkiej. Faktem jest, że fale przyplitu tych nastawień wiążą się z okresami zwątpienia w skuteczność tworzonej przez ludzi idei, instytucji, nauki, sztuki.

Od kilkunastu, a może już kilkadziesiąt lat, liczba tych zwątpień, upadku nadziei rośnie w skali, jakiej nigdy chyba świat nie przeżywał. Dzieje się to jednocześnie z

Stopień utajnienia życia publicznego wiąże się ściśle z poziomem cywilizacji w danym kraju. Odwiedzających nas obcokrajowców zdumiewają w pierwszym rzędzie ostre zakazy fotografowania różnych mostów, mostków, i kładek, w dobie, gdy każdy satelita zdolny jest sfotografować z kosmosu uśmiech opalającego się nad rzeką dziecka, i jeszcze na dodatek policzyć, ile zębów w dziąsłach mu brakuje. Jeśli zatem zważyć, że obiektów tych nikt nie przykrywa maskującymi plandekami, sens instalowania przy nich tablic z przekreślonym czerwonymi krechami aparatem fotograficznym wydaje się niezbyt jasny. Wszelako nic to jeszcze w porównaniu z zakazem fotografowania wewnątrz większości naszych usługowych instytucji użyteczności publicznej, do których, między innymi, należą poczty, banki i oddziały PKO. Typowe wnętrza w tych utajniowanych biurach składa się zwykle z przepierzenia z paroma okienkami, za którymi przy typowych stolikach urzędują typowe urzędniczki, mające do swojej dyspozycji typowe komputery ręczne, pamiętające czasy Enigmy, bądź nawet liczydła. Są tam jeszcze jakieś szafy, czasem kasa na polny pancerna, no i, oczywiście, typowe krzeselka.

Zastanawiając się nad przyczynami, dla których nie wolno tego fotografować (nawiasem mówiąc: kto i w jakim celu miałby to robić?), musimy po kolei odrzucić powody najmniej prawdopodobne, z tych zaś na pierwszym miejscu wymienilibym lęk przed możliwością dokonania bandyckiego napadu po uprzednim obfotografowaniu pomieszczenia. Alternatywa taka nie wchodzi w ogóle w rachubę, ponieważ ewentualnym bandytom nie byłaby do niczego potrzebna. No bo niby po co fotografować, skoro stojąc godzinę w kolejce nie zwracamy na siebie najmniejszej uwagi i możemy dobrze zapamiętać każdy, najdrobniejszy nawet szczegół? W dodatku po co właściwie mamy zapamiętywać? Paniuszka dziś może mieć milion w kasie, a jutro stu złotych nie wyda nam z książeczki, dopóki jakiś klient najpierw jej nie wpłaci. Czy u nas w ogóle można zaplanować napad? Oglą-

LISTY ZZA RZEKI

NIKNĄCA
META

HENRYK GAŁA

procesem niebywałego, niewyobrażalnego rozkwitu i osiągnięcia zdobyczy technicznych, które stały się miarą przewagi posiadających je nad nieposiadającymi. Permanentny stan wojny na świecie, poprzez który następuje polaryzacja ideologii,

czyni z naszej planety obiekt samoregulujący się ku zagładzie.

Czyż więc dziwić może skłanianie się ludzi powszechne, jak to można obserwować, ku praktykom nieracjonalnym, absurdalnym przekonaniom i zabobonnym wiarom? Wróżbi, horoskopy, magiczne zabiegi lecznicze zastępują przewidywanie (kto dziś ma odwagę zaplanować sobie życie?), zdobywanie wiedzy i środków (ilu ludzi świadomie nie kształtuje swoje postawy, charakter?), dbałość o zdrowie, jako część świadomego życia (gdzież wiara w niezawodność pigułki i skalpela?). Znow kłósa muszą wypędzać diabły z ludzi, dosłownie, i to w takiej liczbie, że brakuje ponoć egzorcystów.

Wszystko to pewnie przynosi ulgę, jakąś nadzieję i pozwala zapomnieć o tym „najwspanialszym ze światów”. Jest faktem, społecznym, ponadnarodowym, ludzkim, gatunkowym. I dlatego nie można o tym

nie myśleć, nie szukać przyczyn, nie dążyć do zmiany tego stanu. Bezszytne są i będą tu wszelkie zabiegi magiczne, jak i te w rodzaju akcji uświadamiających, lekcji, propagandy, które nie będą zawierały jasno sformułowanej zasady, że ludzkość musi odmienić system wartości, którymi żyje, jeśli nie można już zmienić kierunku, w jakim idzie jej rozwój (co pewnie i tak czeka następne pokolenia).

Jednym z magicznych zaklęć staje się oczekiwanie na wiek następny. Nawet wytrawnym i całkiem rozsądnym mówcom twardnie, o poczęcie głos, kiedy zapowiadają wiek XXI. No i co z tego? Przecież to granica absolutnie umowna. Są sprawy, jak choćby ratowanie Polski przed brakiem wody, które wymagają dalszej perspektywy. Więc nie czaruje się przyszłym stuleciem, jego początek nie będzie żadną granicą. Ta, o której wszyscy myślimy, ciągnie się już od kilku dziesiątków lat, zaczęła sięgać kosmosu, jakby kosmos można było podzielić na strefy wpływów, i ciągle jest granicą niepokoju, strachu i zagrożenia.

A ja chciałbym, aby nas w styczniu 2001 roku zaskoczyła zima, nie za bardzo oczywiście, aby węgł, który w takim trudzie w godzinach nadliczbowych wydobędą górnicy, został jednak przez kolejarzy dostarczony do składów opałowych. No a potem, żeby była ciepła wiosna.

odpada u nas z zupełnie innych powodów, natomiast jeśli chodzi o systemy alarmowe, to w dalszym ciągu króluje guzik naciskany ręcznie lub nożem. Elektronika tylko w sporadycznych przypadkach dotarła do bankowych sejfów, w których zresztą Polacy raczej nie przechowują swoich brylantów.

Pozostaje zatem już tylko trzecia z logicznych możliwości, choć równie jak dwie pierwsze niemożliwa do przyjęcia. Ową zakaz fotografowania miałby mieć na celu ochronę dóbr osobistych bankowo-pocztowych klientów? Nie wydaje się to prawdopodobne. W jakim bowiem celu chronić twarz Kowalskiego, który opłaca należność za światło lub podejmuje tysiąc złotych z książeczki? Nie jest ci on przecież Rockefellerem lokującym miliardowe sumy w określonym banku, a więc nie mamy tu do czynienia z taką sytuacją, w której dla obu stron najwygodniejsza jest pełna dyskrecja.

Czegóż to w takim razie boją się lub też co i przed kim chcą chronić nasze poczty, placówki PKO i banki? Parkinson twierdzi, że logika urzędnicza, która różni się nieco od normalnej, nakazuje biurokracji tym pilniej strzec swoich tajemnic, im są one głupsze i bardziej kompromitujące biuralistów. Nie szuka się przy tym rozwiązań, które mogą pracę usprawnić: wygodniej jest zakazać wstępu, wglądu, fotografowania. I faktycznie, kiedy patrzy się na pracę wyżej omawianych urzędów, to zgroza człowieka ogarnia. Przy jednych okienkach kilometrowe kolejki, przy innych pustki, ale siedząca tam paniuszka palcem nie kiwnie, żeby pomóc koleżance wypisującej przy każdej finansowej operacji jakieś statystyki, kwitancjusze czy inne formularze. Wszystko to idzie jak za króla Cwieczka, system załatwiania klienta nie zmienił się prawie od początku tego stulecia. Więc, oczywiście, skoro nie można zakazać ludziom wstępu, trzeba chociaż zabezpieczyć fotografowanie.

ANDRZEJ WIESŁAWSKI

Rys. Andrzeja Podulka



Podulka

ŚCISLE
TAJNE

dając zachodnie filmy kryminalne musimy pamiętać, że na naszym gruncie coś takiego byłoby całkowicie niemożliwe do nakręcenia. Czy może ktoś wyobrazić sobie furgonetkę ze złołówkami, podjeżdżającą codziennie do banku punktualnie o godzinie, powiedzmy, dziewiątej trzynastej? A o dwunastej albo szesnastej, lub zgola wczoraj albo pojutrze, bądź kiedy indziej jeszcze, jak się dyspozytorowi zechce, a kierowcy wypadnie?

Odrzucamy więc możliwość chęci zabezpieczenia się przed napadem

zaplanowanym na podstawie dokonanej wcześniej fotografii i przechodzimy do następnej alternatywy.

Poważne banki, pilnie strzegąc swoich skarbów, zakładają coraz to nowsze i wymyślniejsze systemy alarmowe. Gdyby zatem przyjąć, że i u nas coś takiego się zakłada, do bry fachowców mając w ręku zdjęcie mógłby np. orzec: o, tutaj tynk odpada, z czego płynie wniosek, iż przedwczoraj założono w tym miejscu alarm znakomitego systemu OWT. Niestety, niemal w stu procentach wszystkich przypadków tynk



KORONKOWA

Sezonowe powroty koronek i haftów w modzie i ich ceny oraz holubienie kobiet, które uprawiają tę starą sztukę zdobienia strojów, bieleziny i ręczników do-
dają jednoznacznie, że sztuka ta przeszła już do lamusa kultury ma-
terialnej i można ją w pełni podzi-
wiać tylko w etnograficznych zbiorach muzeów. A jeszcze w pierw-
szej ćwierci XX w. takie wykłu-
czenie ubiorów było obowiązkiem
regionalno-obyczajowym. Dzisiaj —



EKSPOZYCJA

dość powszednie niegdyś — umie-
jętności hafciarsko-koronkarskie go-
spodyn północno-wschodniej Polski
(Kurpianek, Podlasiemek oraz mie-
szkanek pogranicza polsko-ukraiń-
skiego i białoruskiego) można obej-
rzeć na pięknej wystawie czasowej
(marzec—maj) w Muzeum Rolnictwa
im. Krzysztofa Kluka w Ciechan-
owie. Warto zachwycić się tym
estetycznym przejawem kultury lu-
dowej, bogactwem motywów i do-
skonałością kompozycji, a także
wielością technik wykonawczych.
(S.H.)

Na tych obrazach toczy się nie-
ustanna rozgrywka. Wszystkie
figury, nie tylko ludzkie czy
człecopodobne, ale i te trudne do
identyfikacji, prowadzą jakieś gry.
Zatrzymane na chwilę, nie pozują
— na to nie mają czasu, odstawia-
ją się tylko przed nami w tym
właśnie momencie swojego bytowa-
nia. Dlatego nie dostrzegamy szcze-
gółów, postacie i przedmioty są nie-
ostre, twarzom brak indywidualiza-
cji. Chyba, że wytrzeszcza się ku
nam jakieś oko, oczysko, wypacza
kinol, rozdziawia gnomiczna gęba
— wszystko rysowane i malowane
na sposób wzięty z dziecięcych prób
plastycznych, z dziecięcego widzenia
świata.

To oczywiście zabieg świadomy i
nie ma w tym malowaniu nic in-
fantylnego. Poświadcza to kolor,
równie jak rysunek „zdeformowa-
ny”, kolor, który nie pokrywa przed-
stawionych figur i przedmiotów, lecz
jest ich widzialną naturą. Nie moż-
na posądzić go o ładność, o to, że
jest „przyjemny”, nie mówiąc o
pięknie.

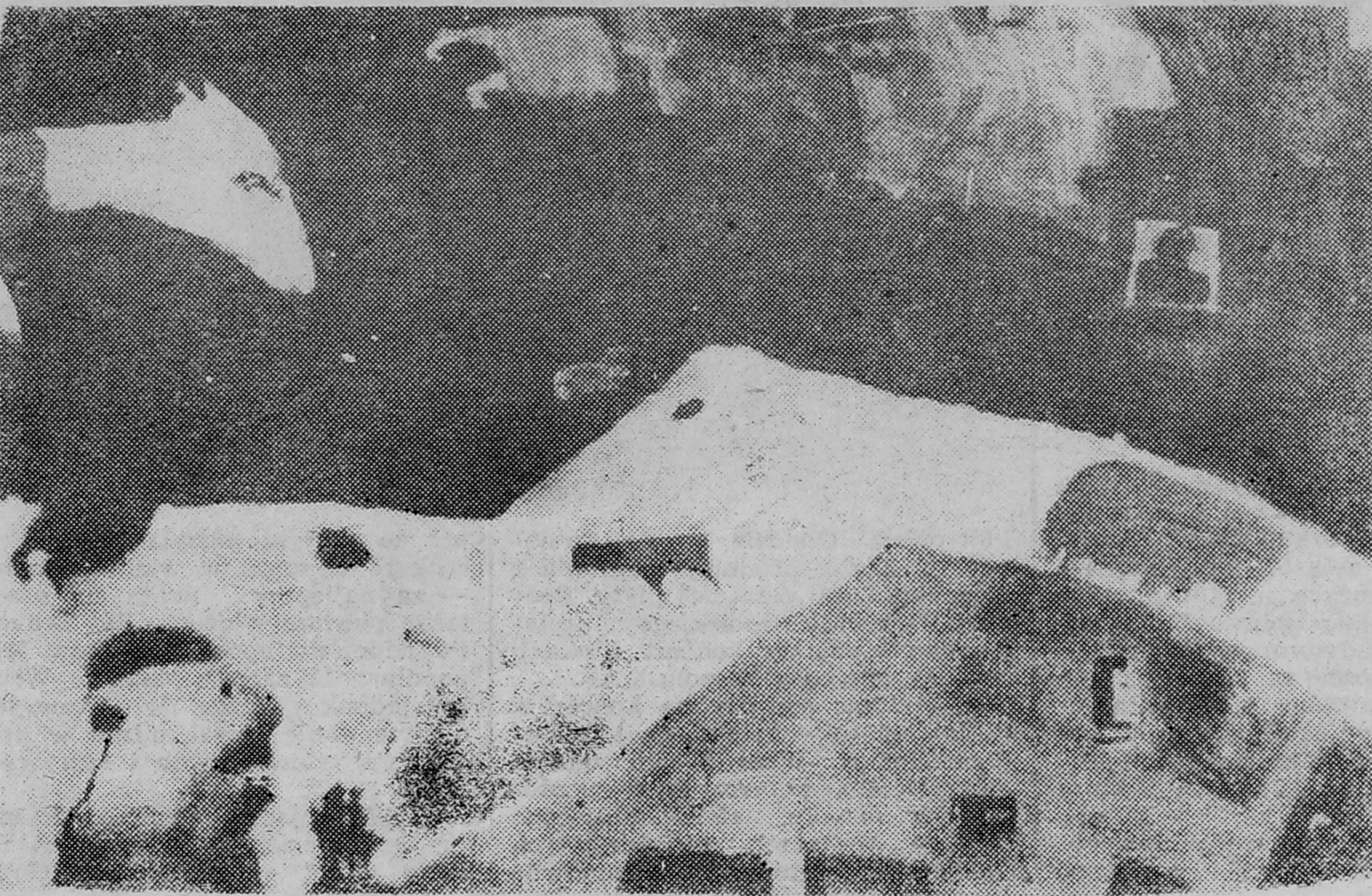
Mikołaj Malesza, bo o jego obra-
zach piszę, dał w łomżyńskim Biu-
rze Wystaw Artystycznych wysta-
wę, przez którą nie wystarczy
przejść i pobawić się groteskowymi
zbitkami tytułów z przemyślaną
niebaleścią malarstwa. Trzeba, tak
— trzeba, bo do tego zmuszają te
płótna, pomyśleć o wielu innych
sprawach. Pierwsza, to doświadcze-
nie chęci obcowania z tymi „nie-
ładnymi” obrazami. Ich „brzydota”
nie jest agresywna, a deformacja
bliższa prawdy niż chęć prze-
drzeźniania. Inna myśl, którą wy-
wołują te zebrane w wystawę o-
brazki chwil, to pytanie o ich ge-
nealogię. Takiego malarstwa nie da
się wymyślić ani nauczyć, trzeba je
w sobie odnaleźć.

Mikołaj Malesza urodził się w
Białymstoku przed trzydziestu kil-
ku laty i to miasto, jeszcze sprzed
okresu gwałtownego rozwoju, for-
mowało jego świadomość, ładowało
dziecięcą pamięć, budziło i ograni-
czało wyobraźnię. Po cóż zresztą
wyprawiać się aż do Białegostoku,

kiedy wystarczy w Warszawie prze-
jechać przez Wisłę i przejść ulicą
Targową w okolicy dworca Stadion
aby spotkać postacie z „Złotni-
ków”, „Sztuki latania”, „Pięknej
naszej Polski całej”, „Śłodkiej idiot-
ki i wesołego kretyna”, a nawet z
„Upadłego anioła”, choć zaprzęga go
Malesza (za karę — to pewnie, tyl-
ko nie wiem: za grzechy sprzed czy
po 1789 roku) do wozu z napisem
„liberté, égalité, fraternité”.

Oczywiście, domysłana przeze
mnie lokalność korzeni tego malar-
stwa wcale nie zmniejsza jego uni-
wersalności. Te obrazy są nade
wszystko polskie, bez nachalnej, na-
turalistycznej publicystyki, jak u
Dudy-Gracza, nie wykrzykują hasel
ani antyhasel, mówią półgłosem o
swoich sprawach. A te przecież są
najważniejsze. Dzisiaj, teraz, tutaj.
Żeby tylko ktoś nie podsłuchiwał.
„Czego on się nam tak przygląda?”
— zdają się szeptać brzydaki i brzy-
daczki z obrazów Maleszy; ale zaraz
wracają do swoich spraw.

ANDRZEJ JASION



GRYZ GĘBĄ

prezentacje



ku mnie szybko, z głową lekko odchyloną do tyłu, uśmiechając się.
Pomyślałam, że to bardzo możliwe, że Anna go kocha. Któż mógłby
mu się oprzeć?

— Anna nie przyjechała! — krzyknął. — Mam nadzieję, że nie
wypadła z pociągu.

— Jest w swoim pokoju — odpowiedziałam. — Przyjechała samo-
chodem.

— Nie? To wspaniale! Musisz jeszcze tylko zanieść jej na górę
ten bukiet.

— Kupiłeś mi kwiaty? — zabrzmiał głos Anny. — To bardzo miło
z twojej strony.

Schodziła ze schodów na jego spotkanie, wypoczęta, z uśmiechem
na ustach, w sukni, na której nie znać było śladów podróży. „Zeszła
na dół dopiero słysząc nadjeżdżający samochód — pomyślałam ze
smutkiem. — Mogła zrobić to wcześniej i porozmawiać ze mną,
choćby o egzaminie, który zresztą oblałam.”

Ta ostatnia myśl pocieszyła mnie.

Ojciec podszedł do Anny, pocałował ją w rękę.

— Spędziłem kwadrans na peronie, z tym bukietem w ręku i
głupim uśmiechem na ustach. Ale chwala Bogu, że już jesteś, Anno!

Czy znasz Elizę Mackenbourg?

Odwrociłam oczy.

— Musiałam się chyba spotkać — odpowiedziała Anna wyjąt-
kowo uprzejmie. — Dostałam wspaniały pokój. To bardzo miło z
twojej strony. Rajmundzie, żeś mnie zaprosił. Byłam naprawdę bar-
dzo zmęczona.

Ojciec promieniał. W jego pojęciu wszystko układało się dobrze.
Dużo mówił, odkorkowywał butelki. A ja widziałam znów na prze-
mian to rozpaloną twarz Cyryla, to twarz Anny, obie pełne namięt-
ności, i zastanawiałam się, czy wakacje będą takie przyjemne, jak
to zapowiadał ojciec.

Ta pierwsza kolacja była bardzo wesoła. Ojciec z Anną mówili
o wspólnych znajomych, nielicznych co prawda, lecz interesujących.
Bawili się do momentu, gdy Anna oświadczyła, że współnik ojca
jest ograniczony. Człowiek ten dużo pił, ale był sympatyczny i w
jego towarzystwie spędziliśmy z ojcem niezapomniane wieczory.

Zaprotestowałam: — Lombard jest zabawny. Sama byłam świad-
kiem, jak bawił towarzystwo.

— Przyznasz jednak, że jest ograniczony i nawet jego humor...

— To nie jest może ten rodzaj inteligencji, który się potocznie
nazywa inteligencją, ale...

Przerwała mi z miną pobłażliwą: — To, co nazywasz rodzajem
inteligencji, to tylko kwestia pewnej dojrzałości.

Zwięzłość i dosadność tego sformułowania zachwyciły mnie. Nie-
które zdania stwarzają subtelny, intelektualny klimat, który mnie
oczarowuje, nawet jeśli nie rozumiem ich dokładnie. Powiedzenie
Anny wzbudziło we mnie chęć posiadania małego notesu i ołówka.

Powiedziałam jej to. Ojciec wybuchnął śmiechem.

— No, przynajmniej nie jesteś zawzięta!

Nie mogłam być zawzięta, bo Anna nie była złośliwa. Czulałam, że
jest na to zbyt obojętna; sądy jej nie miały tej ścisłości i ostrości
właściwej ludziom złośliwym. Były za to tym bardziej przytłacza-
jące.

— Prosiłem ją, żeby przyjechała do nas, gdy zmęczy ją praca
w domu mój, i właśnie... właśnie przyjeżdża.

Nie przyszłoby mi to nigdy do głowy. Anna Larsen była dawną
przyjaciółką mojej biednej matki i rzadko widywała ojca. Niemniej
jednak gdy przed dwoma laty wróciłam z internatu, ojciec, który
nie bardzo wiedział, co ze mną robić, posłał mnie do niej. W ciągu
tygodnia ubrała mnie gustownie i nauczyła dobrych manier. Wzbu-
dza we mnie namiętne podziw dla siebie, który zresztą skierowała
na pewnego młodego człowieka ze swego otoczenia. Zawdzięczałam
jej więc moje pierwsze eleganckie stroje i moją pierwszą miłość.

Przy swoich czterdziestu dwu latach była kobietą pociągającą i wy-
tworną. Twarz jej, piękna i dumna, miała wyraz znużonej obojęt-
ności. Ta obojętność to jedyna rzecz, jaką można jej było zarzucić.
Anna była uprzejma i daleka. Biła z niej jakaś uparta siła woli
i spokój serca, który oniemiał. Nie słyszało się, by miała kochan-
ka, chociaż była rozwiedziona i niezależna. Zresztą obracaliśmy się
w różnych środowiskach. Ona spotykała się z ludźmi mądrymi, do-
brze wychowanymi, dyskretnymi, a my z osobami hałaśliwymi, żąd-
nymi rozrywek, bo ojciec wymagał od ludzi jedynie tego, żeby byli
ładni lub zabawni. Mam wrażenie, że Anna pogardzała trochę ojcem
i mną, bo przywiązywałam zbyt dużą wagę do zabaw i blaho-
stek — jak pogardzała wszelkim brakiem umiaru. Spotykaliśmy się
tylko na przyjęciach dla załatwiania interesów, ona prowadziła bo-
wiem salon mój, a ojciec zajmował się reklamą. Łączyło nas je-
szcze wspomnienie o matce i moje starania, żeby się z nią spoty-
kać, bo choć mnie oniemiała, podziwiałam ją bardzo. Ten nagły
przyjazd wydawał się poza tym niefortunny, gdy się pomyślało
o obecności Elizy i znało wymagania towarzyskie Anny.

Eliza zadawała mnóstwo pytań dotyczących pozycji Anny w świe-
cie i posłała spać. Gdy zostałam sama z ojcem, siadłam u jego stóp
na schodach. Pochylił się ku mnie i położył mi ręce na ramionach.

— Dlaczego jesteś taka chuda, mała? Wyglądasz jak dziki ko-
tek. Chciałbym, żeby moja córka była ładna, tłusciutką blondynką
o porcelanowych oczach i...

— Nie o to chodzi! — przerwałam. — Dlaczego zaprosiłeś Annę?

Dlaczego zgodziła się tu przyjechać?

— Może dlatego, żeby zobaczyć twego starego ojca. Nigdy nie
nie wiadomo.

— Ty nie jesteś typem mężczyzny, który może interesować
Annę — odpowiedziała. — Jest na to zbyt inteligentna i za wysoko
się ceni. A Eliza? Czy pomyślałaś o Elizie? Czy ty możesz sobie
wyobrazić rozmowy Anny z Elizą? Bo ja nie!

Nie pomyślałam o tym — przyznałam. — To straszne doprawdy!

Cecylko, moje dziecko, a gdybyśmy — tak wrócił do Paryża?

Śmiał się cicho, gładząc mi kark. Odwróciłam się i spojrzałam
na niego. Wokół jego ciemnych, błyszczących oczu tworzyły się małe,
śmieszne zmarszczki, kąciki ust uniosły się w górę. Przypominał
fauna. Zaczęłam się śmiać z nim razem, jak zwykle, gdy ściał
sobie na głowę jakieś kłopoty.

— Mój stary druhu! — powiedział. — Co ja bym począł bez
ciebie?

I ton jego głosu brzmiał tak przekonująco, tak czule, że po-
jęłam, iż rzeczywiście byłby nieszczęśliwy.

□ „Eurythmics” — popularny duet śpiewający rytmiczne piosenki — w nowych konfiguracjach. Obecnie Annie Lennox występuje z tancerzem Billy Pavedą, zaś Dave — z sympatyczną, tlenioną blondynką, Claire Evans.

□ Paul McCartney nagrał tytułową piosenkę do filmu Johna Landisa „Spies Like Us”.

□ Natomiast nazwisko Jimmy'ego Page'a znalazło się w filmie „Death Wish” Michaela Winnera. Page — jak nietrudno się domyślić — jest twórcą ścieżki dźwiękowej w tym obrazie.

□ Film animowany zrealizował zaś Mike Oldfield. Dzieło, które powstało przy współpracy z Pete'em Clarodgem zrealizowano w prywatnym studiu Mike'a.

□ Julian Lennon — syn sławnego ex-Beatlesa, został już milionerem. Sukces zawdzięcza własnej twórczości i występom. Jego debiutancki album „Valotte” przyniósł mu platynowe płyty w Australii, USA i Japonii, zaś podwójną — w Kanadzie.

ROCK

□ Simon Le Bon, wokalista zespołu „Duran Duran”, poślubił naskromnej uroczystości w Oxfordzie swą długoletnią przyjaciółkę, modelkę Yasmin Parvaneh. Natomiast jego kolega Midge Ure, leader grupy „Ultravox” — okazał się reżutniejszy, żeniąc się z gwiazdką telewizyjnych reklam Annabel Giles. Uroczystość odbyła się na plaży jednej z plaż na wyspie Montserrat.

□ Amerykański bankier — Jack McCollum, którego syn zastrzelił się słuchając muzyki Ozzy Osbourne'a, oskarżył artystę, a zarazem autora dość ponurych tekstów (cytat z piosenki „Suicide Solution”: „samo-bójstwo jest jedynym wyjściem”), o odpowiedzialność za śmierć chłopca. Osbourne, który nie uważa się za winnego, wyjaśnił, że ów utwór poświęcił wokaliście zespołu „AC DC” — Bonowi Csetowi, który pewnej nocy zapił się na śmierć. Natomiast żona Osbourne'a całe wydarzenie skomentowała w sposób

następujący: „Dobrze, że chłopak nie czytał w młodości Szekspira, bo zabiłby się o wiele wcześniej”. Tak czy inaczej sprawa trafiła do sądu i zapowiada się niezła awantura. nie tylko w świecie prawników, którzy będą musieli byłemu wokaliście zespołu „Black Sabbath” wyperswadować namawianie w swojej twórczości do popełniania samobójstw.

□ „Kombi” znowu jest triem. Od grupy odszedł perkusista, Jerzy

dziecko amerykańskiego show-businesu; chętnie lansowany przez telewizję, przez pewien czas uważany był za najpoważniejszego rywala Elvisa Presleya. Rick mając 16 lat nagrał płytę z utworami „A Teenager's Romance” i „I'm Walking”, która rozeszła się w ilości ponad miliona egzemplarzy, co na owe czasy (rok 1957) — było nie lada osiągnięciem. Największym przebojem Ricka była piosenka „Hello, Mary Lou”, dziś zaliczana



Piotrowski. Obecnie kapela występuje w kraju, promując nagrania z niezbyt udanej ostatniej płyty. Podczas Festiwalu Opolskiego zaplanowano specjalny koncert z okazji 10-lecia istnienia zespołu.

□ Podczas podróży na koncert w Dallas zginął w katastrofie lotniczej Rick Nelson. Wraz z nim zginęła narzeczona i członkowie pięcioosobowego zespołu akompaniującego artystę. W latach pięćdziesiątych Nelson zadebiutował jako cudowne

już do klasyki muzyki pop. Piosenkarz wystąpił w wielu filmach — za najlepszy uważa się znany także polskim widzom „Rio Bravo”. Po nadejściu epoki Beatlesów jego popularność zaczęła słabnąć. Wciąż był jednak gwiazdą w Ameryce, nieprzerwanie biorąc udział w programach telewizyjnych i rozrywkowych.

□ W krajach Beneluxu ukazała się debiutancka płyta polskiego zespołu „Kat” — „Metal And Hell”.

którą wydała firma „Ambush” Belgii. Ta sama wytwórnia promowała też kilka miesięcy temu krążek grupy „TSA” — jednak bez większego powodzenia.

□ „Wolne loty” to tytuł longplaya nagranych dla „Poltonu” przez Marka Bilińskiego. Na płycie znajduje się 8 dość interesujących utworów.

□ Staraniem „Promitu” ukazała się w Polsce płyta Shakin' Stevensa zawierająca nagrania tego piosenkarza z lat siedemdziesiątych.

□ Niebywałą popularność zdobył w ostatnich miesiącach na liście przebojów w wielu krajach norweski zespół „A-ha”. Na ów sukces, w którym rola młodych muzyków jest raczej nikoma, pracował cały sztab brytyjskich specjalistów.

Grupa powstała w 1982 roku i początkowo występowała pod nazwą „The Britches”, w jego składzie

KRZYSZTOF KURIANIK

SERWIS

dzie znaleźli się trzej muzycy: Morten Harket, Pal Waaktaar, oraz Magne Furuholmen. Wszyscy trzej występowali wcześniej z grupami amatorskimi jak „Black Sapphire”, „Black Days” czy „Soldier Blue”. To co prezentowali wtedy publiczności, niestety, nie zyskiwało większego zainteresowania. Angielskim producentom sympatyczne piosenki Norwegów wydały się atrakcyjnym towarem, który postanowili wylansować, a co za tym idzie i drogo sprzedać. Zaangażowano grono specjalistów — aranżera, inżyniera dźwięku, muzyków studyjnych, ludzi od reklamy i promocji. Ich zadaniem było nadanie nagraniu współczesnego, atrakcyjnego brzmienia. Przygotowana w ten sposób dużym nakładem środków płyta „Hunting High And Low” spodobała się na całym świecie i jeszcze w tej chwili cieszy się popularnością nie tylko w Polsce. Myślę jednak, że wydanie podobnego krążka jest już mało prawdopodobne.

Do późnej nocy mówiliśmy o miłości i jej komplikacjach, które ojciec zresztą uważał za wymaginowane. Odrzucał systematycznie takie pojęcia jak wierność, głęboka uczuć, obowiązek. Tłumaczył mi, że są one jałowe i krępujące. Gdyby to mówił kto inny, byłabym oburzona. Ale znałam go. Wiedziałam, że u niego nie wykluczało to ani czułości, ani przywiązania. Uczucia te okazywał tym łatwiej, że wiedział, iż są one przemijające, i chciał, by takie były. To mi odpowiadało: miłość nagle, gwałtowna i nietrwała. Nie byłam w wieku, w którym wierność pociąga Spotkania, pocałunki, znużenie — to były moje miłosne doświadczenia.

2

Anna miała przyjechać najwcześniej za tydzień. Korzystałam z tych ostatnich dni prawdziwych wakacji. Wynajęliśmy willę na dwa miesiące, ale wiedziałam, że z chwilą przyjazdu Anny zupełna swoboda będzie już niemożliwa. Anna nadawała sprawom kształt, a słowem sens, których my z ojcem najchętniej unikaliśmy. Narzucała prawidła dobrego smaku i właściwego zachowania i trudno było nie wyczuć tego w jej nagłym zamykaniu się w sobie, w milczeniu pełnym urazu, w słowach. Było to interesujące i męczące jednocześnie, no i w końcu upokarzające, bo czułam, że miała rację.

W dniu jej przyjazdu zdecydowaliśmy, że ojciec z Elizą wyjadą po nią na dworzec do Fréjus. Odmówiłam stanowczo mego udziału w tej wyprawie. Ojciec, chcąc jakoś ratować sytuację, ściał wszystkie mieczyki w ogrodzie, by ofiarować je Annie, gdy tylko wysiadzie z pociągu. Poradziłam mu tylko, by bukietu nie niosła Eliza. Po ich wyjeździe, o trzeciej, zeszłam na plażę. Upał był nieznosny. Wyciągnęłam się na piasku i już prawie usypiałam, gdy obudził mnie głos Cyryla. Otworzyłam oczy: niebo było białe, nasycone upałem. Nie odpowiedziałam Cyrylowi: nie miałam ochoty rozmawiać z nim ani z nikim. Byłam jak przygwożdżona do piasku całą siłą tego gorącego lata, ramiona ciążyły mi, w ustach zasychało.

— Umarłś czy co? — zapytał. — Z daleka wyglądasz jak samotny rozbitek.

Uśmiechnęłam się. Usiadł obok, a mnie serce zaczęło walić ciężko, głucho, bo siadając dotknął niechcący mego ramienia. Wiele razy w ciągu ostatniego tygodnia moje wspaniałe popisy pływackie zbliżały nas w wodzie do siebie, splatały razem, nie budząc we mnie najmniejszego niepokoju. Ale dziś ten upał, ta ociepłałość, ten niezręczny gest wystarczyły, by coś się jakby we mnie załamało. Obróciłam głowę w jego stronę. Patrzyła na mnie. Zaczynałam go poznawać: był zrównoważony i przyzwoitszy może, niż jest się na ogół w jego wieku. Dlatego nasza sytuacja — ta dziwna trójka — raziła go. Był zbyt dobry lub zbyt nieśmiały, by mi o tym powiedzieć, lecz wyczuwałam to z niechętnych, pełnych urazu spojrzeń, jakie rzucał memu ojcu. Chciałby pewnie, żebym się tym przejmowała. Ale ja nie przejmowałam się wcale, a jedyną rzeczą, jaka dręczyła mnie w tej chwili, był jego wzrok i gwałtowny niepokój własnego serca. Pochylił się ku mnie. Przypomniłam sobie ostatnie dni tego tygodnia, moją ufnosć i spokój u jego boku, i gdy

te pełne, trochę ciężkie wargi zbliżyły się do mej twarzy, zrobiło mi się czegoś żal.

— Cyrylu — powiedziałam — byliśmy tacy szczęśliwi...

Pocałował mnie delikatnie. Spojrzałam w niebo. Potem nie widziałam już nic prócz czerwonych błysków rozpryskających się pod zaciśniętymi powiekami. Upał, odurzenie, smak pocałunków, westchnienia przeciągały się w długie minuty. Dźwięk klaksonu spłoszył nas jak złodziei. Bez słowa zostawiłam Cyryla i wróciłam do domu. Zdziwił mnie ten szybki powrót: pociąg Anny nie mógł jeszcze przyjść. Niemniej ujrzałam ją w chwili, gdy wysiadłszy z własnego auta wchodziła na taras.

— Ależ to pałac Śpiącej Królowej! — zawołała. — Jakżeś ty się opaliła, Cecylko! Ciesz się, że cie widzę.

— Ja też się cieszę, że panią widzę — odpowiedziałam. — Jdzie pani prosto z Paryża, prawda?

— Wolałam przyjechać samochodem. Zresztą jestem śmiertelnie zmęczona.

Zaprowadziłam ją do przeznaczzonego dla niej pokoju. Otworzyłam okno w nadziei, że dojrzę ząglówkę Cyryla, ale już jej nie było. Anna usiadła na łóżku. Zauważyłam, że ma podkrążone oczy.

— Ta willa jest czarująca! — powiedziała z westchnieniem. — A gdzie pan domu?

— Pojechał z Elizą na dworzec po panią.

Postawiłam właśnie walizkę na krześle i odwracając się do Anny doznałam wstrząsu. Wyraz jej twarzy zmienił się nagle, usta drżały.

— Eliza Mackenbourg? Przywiózł tu Elizę Mackenbourg?!

Nie znalazłam odpowiedzi. Patrzyłam na nią w osłupieniu. Ta twarz, którą widziałam zawsze tak spokojną, tak opanowaną, wydana w ten sposób na pastwę mego zdumienia... Wpatrywała się we mnie poprzez obrazy, jakie nasuwały jej moje słowa; na koniec dostrzegła mnie i odwróciła głowę.

— Powinnam was była uprzedzić — powiedziała. — Ale tak się spieszyłam, by wyjechać, taka byłam zmęczona...

— A teraz... — podjęłam machinalnie.

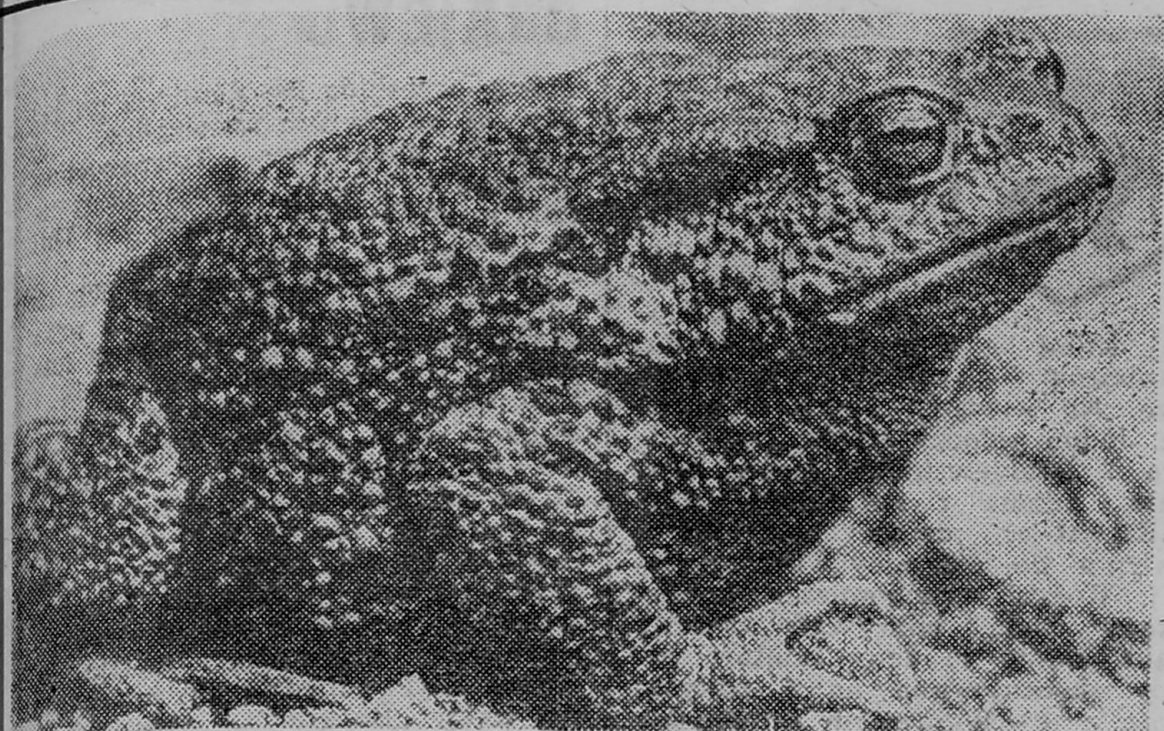
— Co teraz? — spytała.

Wzrok jej był pytający, pogardliwy. Nic się przecież nie stało.

— Teraz przyjechała pani — powiedziałam głupio, pocierając zakłopotaniu ręce. — Bardzo się cieszę, że pani tu jest, naprawdę. Zaczekam na dole. Jeśli chciałaby pani napić się czegoś, to proszę tylko powiedzieć...

Bakając coś pod nosem wycofałam się z pokoju i zeszłam po schodach. Nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Co znaczy ten wyraz, ten zmieniony głos, to nagle załamanie? Usiadłam na leżaku i zamknęłam oczy. Starłam się przypomnieć sobie twarz Anny: poważną, spokojną czy ironiczną, ale zawsze mocną w wyrazie, kojącą. Odkrycie tej twarzy tak wrażliwej na ból wzruszyło mnie i irytowało równocześnie. Czy Anna kochała mego ojca? Czy to możliwe, by go kochała? Nic w nim nie odpowiadało jej gustom. Był słaby, lekkomyślny, czasami tchórzliwy. Ale może to tylko zmęczenie podróży, zastrzeżenia natury moralnej? Spędziłam całą godzinę na snuciu hipotez.

O piątej przyjechał ojciec z Elizą. Obserwowałam go, gdy wysiadał z auta. Starłam się dociec, czy Anna może go kochać. Szedł



ropuchy — okupantki

Przed 50 laty z Hawajów przywieziono je do północnych stanów Australii, by wytepiły robactwo pustoszące plantacje trzciny cukrowej. Ropuchy odmiany bufo marines, osiągające wielkość półmiska, spełniły swoje zadanie. Gdy

zabrakło pożywienia na plantacjach, zabrały się do pożerania ślimaków i szczurów. Rozmnażały się przy tym w tak gwałtownym tempie, że stały się plagą stanu Queensland. Teraz wędrują coraz dalej.

MOWIĄ GESTY



Już dwa tysiące lat temu Cyce-ro uczył oratorów, by wszelkie poruszenia duszy odzwierciedlały gestami dłoni, palców, ręki, nogi, mimiką oczu, gesty bowiem tworzą specyficzny język ciała, zrozumiały nawet dla dzikusów i barbarzyńców.

Gest może całkowicie zastąpić słowo, oddzielną literę (np. alfabet głuchoniemych) lub całe pojęcie. Może być symbolem, kodem, np. w języku gestów w sporcie, w lotnictwie, przy regulacji ruchu, wśród strażników, nurków. W Kolumbii niedawno wydano dwutomowy słownik, w którym pomieszczono ponad 2000 gestów używanych w życiu codziennym przez Latynosów.

Każdy naród dopracował się sobie tylko właściwego kodu. Zwrot głowy — wg Karola Darwina — to naturalny odruch dziecka, kiedy nie chce piersi matki. Można sądzić, że taki gest odmowy u zarania rozwoju ludzkiej społeczności był jednakowy u wszystkich. Dziś obserwujemy kraciowo różne jego formy. Powszechnie wiadomo, do jakich nonsensownych sytuacji doprowadza niezrozumienie przez turystów odmienności tego gestu w Bułgarii. Indianie amerykańscy najczęściej wyrażają „nie” gwałtownym ruchem zgiętej w łokciu ręki — do ramienia. Arabowie i niektóre inne nacje, odmawiając czegoś, skłaniają głowę do tyłu i mlaskają językiem. By zadenonstrować całkowitą odmowę, gryzą paznokieć dużego palca, po czym gwałtownie wyciągają go w przód. Turcy w takim przypadku podnoszą podbródek, ziewają oczy i z lekka mlaskają językiem. Japończycy kiwają głową, a Malajczycy — zamykają oczy.

Szczególnie bogaty i piękny jest język gestów przy powitaniu. Chińczycy w dawnych czasach ścisłali własne ręce (współcześni oratorzy witają tak słuchaczy). Polinezyjczycy obejmują i pocierają sobie wzajemnie plecy. Eskimosi uderzają znajomka kulką po głowie i ramionach. Mieszkańcy wysp Samoa obwążują się wzajemnie. Gest powitania u Egipcjan przypomina oddawanie czci — dłoń przykładają do czoła. Niektóre afrykańskie narody obejmują się, dotykają twarzy policzkami.

Wśród australijskich autochtonów zachował się obyczaj zabraniający rozmów wdowom, które pochowały mężów, młodzieńcom w okresie pasowania na mężczyznę, kobietom, które wyprawiły mężów na polowanie. Wówczas z pomocą przychodziły im gesty. Podróżnicy opowiadają, że nieraz oglądali kobiety, które nie wydawszy ani jednego dźwięku, „rozmawiały” długo i z ożywieniem.

Wiadomo, że mieszkańcy Sycylii gestykulują niezwykle gwałtownie i wyraźnie. Jak głosi legenda, swego czasu zabroniono im publicznych rozmów pod groźbą ciężkiej kary. Wówczas wypracowali „milczący” język.

Angielski psycholog podczas swojej podróży dookoła świata skonstatował, że w ciągu godzinnej rozmowy Fin wykorzystuje gesty jeden raz, Włoch — 80, Francuz — 120, Meksykanin — 180.

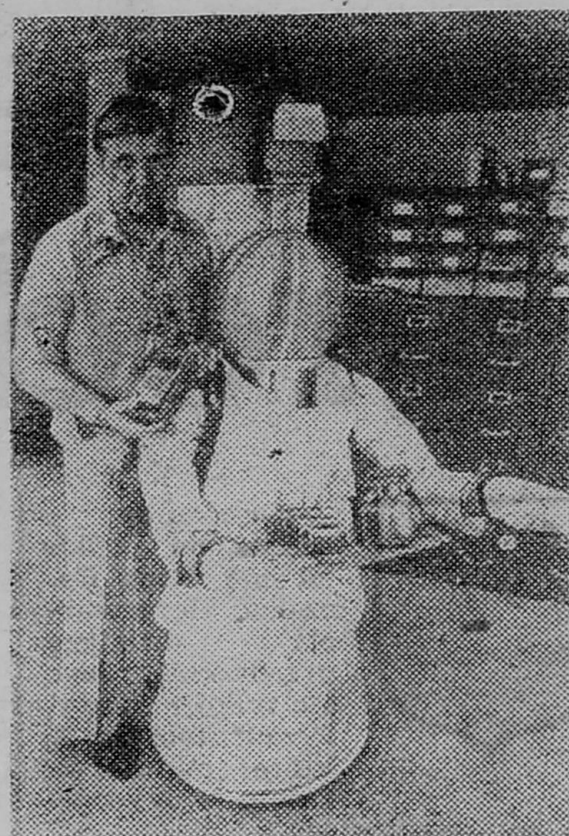
Wydawałoby się, że Rosjanie i Japończycy żyją we względnej bliskości, tymczasem rosyjski gest ręką przy gardle — „jestem syty” — dla Japończyka oznacza zwolnienie z pracy. W Tybecie przechodzenie mo-że pokazać język, co oznacza, że nie miał nic głupiego na myśli.

Żeby uprzedzić kogoś o niebezpieczeństwie, Włoch, Hiszpan i Latynos palcem wskazującym lewej ręki odciągają dolną powiekę. W Austrii podobny gest będzie przyjęty jako wyraz pogardy, lekceważenia. Jeden i ten sam gest — potrząsanie głową z góry na dół — w Argentynie, Urugwaju i Wenezeli równoznaczny jest okrzykowi: „to ci dopiero”, „ładna historia”, a w Peru — „ach, jak się pomyliłem!”, zaś w Chile: „wyobraź sobie, co się dzieje”.

żarówka na 8 lat

Trwałość wyrobów oferowanych dotychczas przez branżę oświetleniową wynosi zaledwie kilka miesięcy. Jedną z firm amerykańskich lansuje nowy typ żarówki, udzielając na nią 8-letniej gwarancji.

Na pierwszy rzut oka niczym się ona nie różni od standardowej: szklana bańka, gwintowany cokół, ale zamiast typowej wkładki izolacyjnej zawiera wkładkę wykonaną ze specjalnej polifenylenowej żywicy, która charakteryzuje się znakomitą odpornością na temperaturę i nie ulega uszkodzeniu nawet przy 260 st. C. Żywica łatwo się kształtuje podczas obróbki plastycznej. Gotowy już element ma jednak bardzo dużą sztywność i stabilność wymiarową. Żywotność takiej żarówki wzrosła — w przybliżeniu — stukrotnie.



chuligan — kelner

W niektórych restauracjach amerykańskich w roli kelnera występują roboty. Właściciel restauracji w San Francisco musiał szybko zrezygnować z tej technicznej ciekawostki, która przyciągała mu konsumentów, ponieważ robot przewracał kieliszki, nie słuchał szefów, oblewał gości zupą i notorycznie mył się w rachunkach na niekorzyść restauratora.

TANIE DANIE

zupa neapolitańska

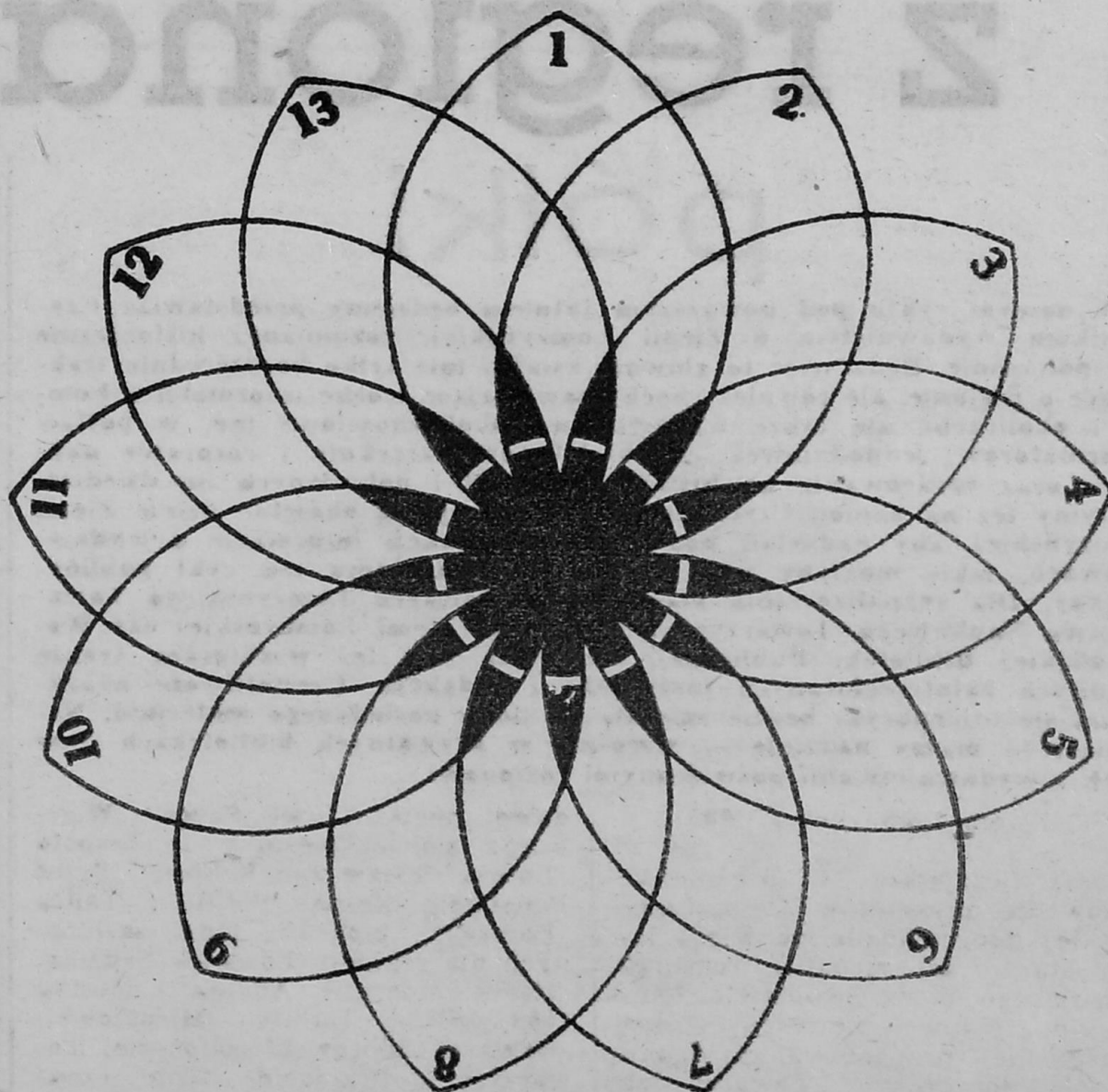
Produkty: porcja włoszczyzny, kostki cielęce lub wieprzowe, 2 łyżeczki masła, 2 łyżeczki maki, szklanka smietany, 5 dkg ostrego tółtego sera, sól, pieprz, makaron.

Ugotować wywar z kości i włoszczyzny. Masło stopić, zasmażyć z mąką, połączyć z częścią wywaru i śmietaną, dodać do zupy i zagotować, po czym wysypać starty ser oraz — ugotowany oddzielnie — makaron. Przyprawić solą i pieprzem.

mercedes jak czołg

Counter Dpy Shop w Waszyngtonie oferuje wersję antyterrorystyczną mercedesa 500. Specjalnie wyposażony pancerny samochód kosztuje 208 000 dolarów.

rozeta sylabowa



PRAWOSKRĘTNIE: 1) lotniskowy „Bocian”, 2) styl w sztuce europejskiej w XVIII wieku, 3) półkrzew z rodziny różowatych o słodkich, czerwonych owocach, 4) rodzaj wierzbielnego okrycia, 5) przejawione przedstawienie, naswietlenie, 6) czerwona a Szukszyna, 7) obowiązkowe świadczenie w naturze, 8) żłobienie, 9) dzierzenie, wyglądzanie powierzchni skał wskutek uderzeń ziarn piaszczystego przez wiatr, 10) poprzedzała galiardę, 11) sprawa do załatwienia, 12) ruch społeczno-religijny w Lombardii w XI wieku, 13) tygodnik z programem radiowo-telewizyjnym, 13) interesuje kolarza po zakończeniu etapu.

LEWOSKRĘTNIE: 1) rozmyślnie, złośliwie stawianie komuś przeszkód, utrudnień, 2) w rękach się pali, 3) płacek przekładany makiem, 4) płótno introligatorskie, 5) diafragma, 6) likwidacja, 7) znana piosenkarka francuska włoskiego pochodzenia, 8) rodzaj mięsa, 9) „polski” stan w Brazylii, 10) napaść, agresja, 11) taca liturgiczna, 12) najjaśniejsza gwiazda w gwiazdozbiórze Niedźwiadka, 13) fantowa, książkowa, pieniężna.

Stragan pod trzynaście



omawianą budowę, wystarczyło przesunąć plot. Niestety władze WZSR-u nie godzą się na taką propozycję. Twierdzą, że przedsiębiorstwo nie zechce budować wiejskich sklepów, remontować piekarni itd. Myślę, że nie ma podstaw do takich przypuszczeń. Mam natomiast obawy, czy na zdrowie wyjdzie OBM-owi konkurencja, i to zapewne z wyższymi stawkami wynagrodzeń. Podkupywanie pracowników nie ma sensu. Rozmawiałem z kierownikiem OBM-u; twierdzi, że przysłałby ze 20 pracowników. Dyrektor ogólniaka pytał, czy mają powoływać klasę budowlaną z myślą o organizowaniu przedsiębiorstwie. (Tu odpowiedź jest oczywista; nawet gdyby przedsiębiorstwo szybko nie powstało, fachowcy w tej branży zawsze znajdą zatrudnienie). Wszystko przebiegałoby sprawniej, gdyby wreszcie został powołany pełnomocnik. Zgłosiłem na to stanowisko kandydaturę jednego z pracowników PGKIM-u. Nie wypadł mi popędząć władz wojewódzkich, ale mija już 4 tygodnie i nie został on poproszony na rozmowę kwalifikacyjną.

* * *

Kominiarz z Łomży podejrzany jest to, iż zafalszował dokumenty, by wziąć czegoś sobie. Ichni" zask. — 23 000 zł.

organ samorządowy
pod redakcją
Wiesława Majanickiego

konserwatywny

KRYZYSOWE
JEDNO DĄNIE

szparagi po polsku

Z posiadanych przez nas i magazynowanych w piwnicy ziemniaków oderwać białe, wiosenne wypustki. Umyć je w miarę dokładnie, osuszyć na papierowym ręczniku lub z braku takowego na gazecie, a następnie posolić i obgotować. Podawać z roztopioną margaryną, stosując następujący komentarz: jakieś chude te szparagi latoś, wi-dać źle przeżywały.

GOSPODYN!

Podredakcyjna ekstrapocztą

Motto:
Dobrzy czy źle,
byle dużo

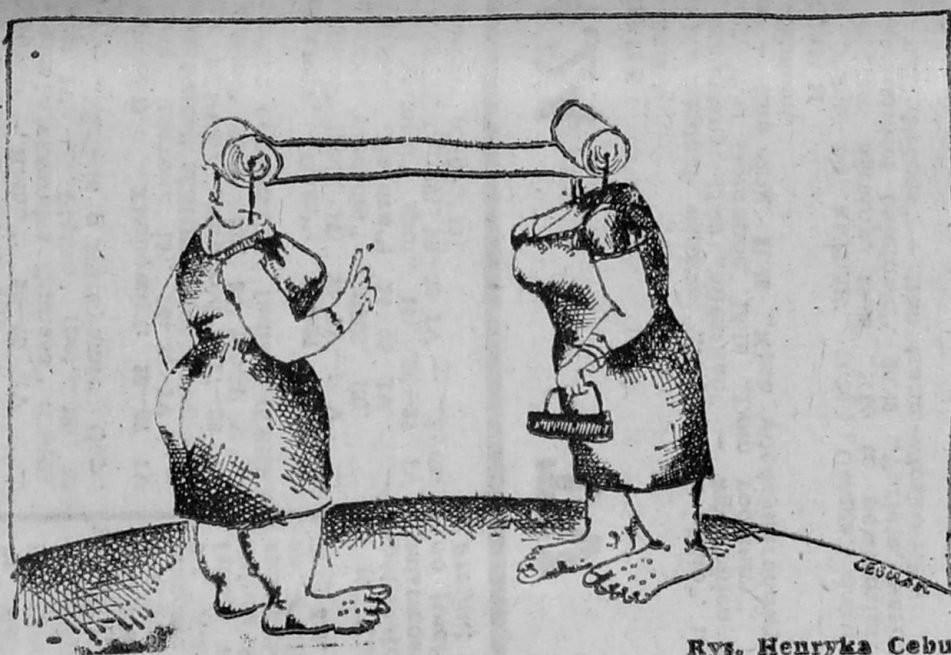
„Rozmowa lekarza z pacjentem. Lekarz do pacjenta: — Co panu dolega? — Pacjent do lekarza: — Zjadłem jedną bułeczkę i wypitem pół litra mleka z OSM w Kolnie (...). Lekarz do pacjenta: — Jaką pan prasę czyta? — Pacjent do lekarza: — „Gazetę Współczesną”, „Trybunę”. — Lekarz do pacjenta: — To niech pan czyta „Kontakty”, tam piszą jak zlewnia, wozaki i rolnicy leją wodę i kto co innego ma. Niech pan nie kupuje mleka z OSM w Kolnie! (...)

Rozmowę lekarza z pacjentem słuchał i zanotował mieszkaniec wsi Bartki

JAN NIECIKOWSKI*

„Droga Podredakcjo!
Napiszcie w piśmie — czy mogę przysłać do Was swoją książeczkę z opisem życia jakie było kiedyś i teraz jest oraz jakie kiedyś będzie. Czekam z niecierpliwością na odpowiedź. Książka ma teraz już dwa tysiące stron, ale może być jeszcze więcej.

Pozdrawiam
JERZY K”
(nazwisko i adres
do wiadomości podredakcji)



Rys. Henryka Cebuli

KONKURSOWA FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

WIERSZYK O TELEWIZJI

(fragment nieco większej całości)

W telewizji wiele smutku jest
Trochę wrzawy i znów cicho jest.
Bo Isaura wolna, zniknęła
I Tara jeszcze w Edenie śpi
Diana już dawno umarła
I Musashi z doradcą shoguna, zginęli też już

[...]

Kodźak nadal łysy jest
I z Janosikiem na emeryturę udają się
Hans Klos z Wirginią w kawiarni
Książkę czytają i na chłopca Coto czekają

[...]

Nota biograficzna: Paweł Grześkowiak, Adamowo 91, 64-200 Wolsztyn, woj. Zielona Góra.

UNI WERSALNA WRÓŻBA TYGODNIA

W tym tygodniu koniecz-
nie stań przed lustrem, naj-
lepiej nago, i uważnie po-
patrz na siebie. Jak się do-
brze przyjrzyj, natychmiast
rozpoznaś zła zwalów zim-
nego tłuszczu swoją całkiem

młodą jeszcze sylwetkę. Jeśli
zatem masz odrobinę litoś-
ci dla siebie, od dzisiaj prze-
stań żreć jak wieprz, a po
miesiącu zaczniesz przypomi-
nać człowieka.

KASSANDER

SLOGAN TYGODNIA

NIE LICZ NA PIENIĄDZE LICZ NA SIEBIE

z pamiętnika seksualisty (91)

— Trudno! — odparłem gło-
sem na polu drewnianym. —
Ostatecznie i ty kobieta je-
steś, choć, prawdę mówiąc,
bardziej krogulca przypomi-
nasz. Odwróć się jedno do
mnie zadkiem, kiedy będę
portki zdejmował, gdyż wsty-
dliwym okropnie, strach zaś
do braku potencji doprowa-
dzić mnie może łatwo.

Wiedźma popatrzyła na
mnie podejrzliwie, czyli ja-
kiego psikusia nie zamierzam
wypłatać, ja zaś ledwo jej
wzrok na sobie wytrzymałem.
— Dobrze! — odparła, wy-
puszczając mnie z garści. —
Obróć się na czas zdyma-
nia przez ciebie twoich szar-
awarów. Pamiętaj jednak,
że jeśli mnie oszalejesz, na
końcu świata moja wściek-
łość cię znajdzie.

Co rzekłszy, babsko na
brzuch ogromny upadło, spód-
nicą własną głowę przykry-
wając, ja zaś przez drzwi
otwarte, niczym zwolniona
sprężyna, na boży świat wy-
padłem. Pozórki córki mego
wiedza Podryga Plugawego



Z URZĘDOWEJ TABLICY OGŁOSZEŃ

Uwaga koleżanki i kole-
dzy!

Przypominamy, że nasze
stanowisko pracy świadczy o
nas, czy nie jesteśmy czasem
brudasami. Należy posprzątać
wokół siebie dokładnie wszy-
stkie nieczystości, aby nie le-
żały na podłodze koło na-
szych maszyn i nie straszyły
fetorem. Panie mogą przynieść
jakieś kwiatki w doniczkach
do zakwitnięcia, którymi na-
leży się opiekować zgodnie z
ich wymogami kwiatowymi.
Mężczyźni proszeni są o nie-
spluwanie na podłogę i nie-
rzucanie petów z papierosów
oraz zgaszonych zapalek.

Pamiętajmy! Czystość to
kultura!

RADA PRACOWNICZA”
(zakład pracy znany pod-
redakcji)

straszne się mogły okazać.
wszakże gdybym został, mógł-
bym być do końca dni moich
na samo wspomnienie niewia-
sty wyprysków skórnych do-
stawać.

„Co będzie, to będzie, grunt,
że teraz nic nie było — tłu-
maczyłem sobie biegnąc — gę-
stwą leśnych ostępów w nie-
znany mi bliżej kierunek
świata. — Wprawdzie znowu
nie poznałem głównej tajem-
nicy ludzkiego życia, wszela-
ko w pewnych sytuacjach
lepiej jest niczego nie pozna-
wać.”

Tak sobie myślałem właś-
nie, nie zastanawiając się na-
wet ani trochę, dokąd udać
się mogą nieszczesne i oje
jakby już zwłoki, skoro z jed-
nej strony gniew mnie strasz-
ny ściaga introwertycznego
pedrwały, z drugiej wściek-
łość onej damy, córki Plugawego,
mego dotychczasowego
herszta i pana. Czy jest gdzie
jaka trzecia strona, dokąd iść
mogę bez nijakiej obawy?

(Cdn)

MINI-KABARET

PIEKIELKO PRZEDSTAWIA DRAMAT INTERPERSONALNO-ADMINISTRACYJNY PT.

SZCZĘŚLIWY POWRÓT

(Miejsce akcji: pulwy nad-
narwiańskie w pobliżu woje-
wódzkiego miasta Łomża,
gdzie krze same i mamory o-
raz oczyszczalnia ścieków.
Przy niezbyt wesoło trzaska-
jącym ogniu rachitycznego o-
gniska siedzą cztery dobrze
znane nam diabły).

IV

SUPRASKI: — Kuliego Bie-
brzański, osobicie nie mam
nie przeciwko konsultacjom
społecznym, które są obja-
wem niewątpliwym waszej
demokracji wewnętrzniebel-
skiej, wszelako nie wykre-
cacie mi się tu sianem. Mie-
liśmy mówić o waszych
sukcesach, nieprawdaż azaliż?

BIEBRZAŃSKI: — Co to
znaczy ostatnich? Chcecie
wyrzykowo oceniać diabła w
jego całościowych poczyn-
aniach? Na moje niewątpliwe
sukcesy pracowałem przecież
przez bardzo wiele lat, nie-
omal od samego zarania, je-
śli jeszcze nie wcześniej. Weź-
my na ten przykład sprawę
kultury w mieście Rajgro-
dzie...

BUZAŃSKI: — Apage!

NARWIAŃSKI: — Na
wszystkich diabłów, kto tu o
raju wspomina? Weźcie
wam się pomieszało, czyście
może przeszli do nadziemnej
opozycji?

WIEŚCI PONADGMINNE

Z danych, jakie swego cza-
su zamieściła „Polityka”, wy-
nika niezbitnie, że średni
koszt jednej minuty progra-
mu publicystyki społecznej
TV znacznie przewyższa śred-
ni koszt minuty publicysty-
ki kulturalnej. Fakt ten zda-
je się potwierdzać znana
skądinąd prawda, że w na-
szym kraju najtańsza jest kul-
tura, a już zwłaszcza maso-
wa. Jeśli zaś chodzi o sama
publicystykę telewizyjną, to
— jak wiadomo — zasadza
się ona z grubsza biorąc, na
posadzeniu przed kamerami

BIEBRZAŃSKI: — Ależ
skąd! Nazwę ma to miasto
faktycznie irytującą, jednak-
że nie ma tego złego, co by
nam na dobre nie wyszło.
Zwróćcie, diablówie drodzy,
łaskawą uwagę na fakt, że
raj w kontekście z Rajgrodem
negatywnie musi się ludziom
kojarzyć oraz przedstawiać
Wprawdzie jeźdźcy mają nie
do końca jeszcze zatrute, ale
przyjdzie pora i na to, daj-
cie mi tylko trochę czasu. A
póki co, na razie jałem się
za kulturę, którą skutecznie
zapudlowałem w budzie drew-
nianej. Gminny Ośrodek Kul-
tury, znaczy się. Kto nie
przyjedzie, a przyjeżdża, to
popatrzcie i zaraz odjeżdża.
Wicie no, kopytne kamraty
że w knajpie miejscowej kul-
turalne imprezy, bywa, się
odbywają? Jakaż to pokusa
przedniej marki dla ludzi
psychicznie oraz moralnie
lekko podupadłych!

SUPRASKI: — A co z bu-
dowa budynku kulturalnego
ośrodka?

BIEBRZAŃSKI: — Kierow-
nika robót skierowałem na In-
ne, mniej potrzebne miasto
areale, toteż nikt go nigdy
nigdzie nie może znaleźć.

BUZAŃSKI: — Nic, tyłk
krzyż wam jaki nadać!

NARWIAŃSKI: — Szus-
nie, rocznica zawsze jakaś się
znajdzie!

(Cdn)

kilku smutnych panów, któ-
rzy omawiają aktualne prob-
lemy, za stosowne honoraria

Z połączenia obu wzmian-
kowanych wyżej faktów wy-
nika że nasz społeczeństwo zna
ia wartość oświaty i potrze-
bia wydobyc go z kasy TV
czego nie robia wiecznie bu-
lający w obłędach twórcy,
zaś bierze się to stad, że
kulturze patronuje wiele róż-
nych Muż, zaś społeczność
tęlo jedna — Mamona.

KOMENTARZ